

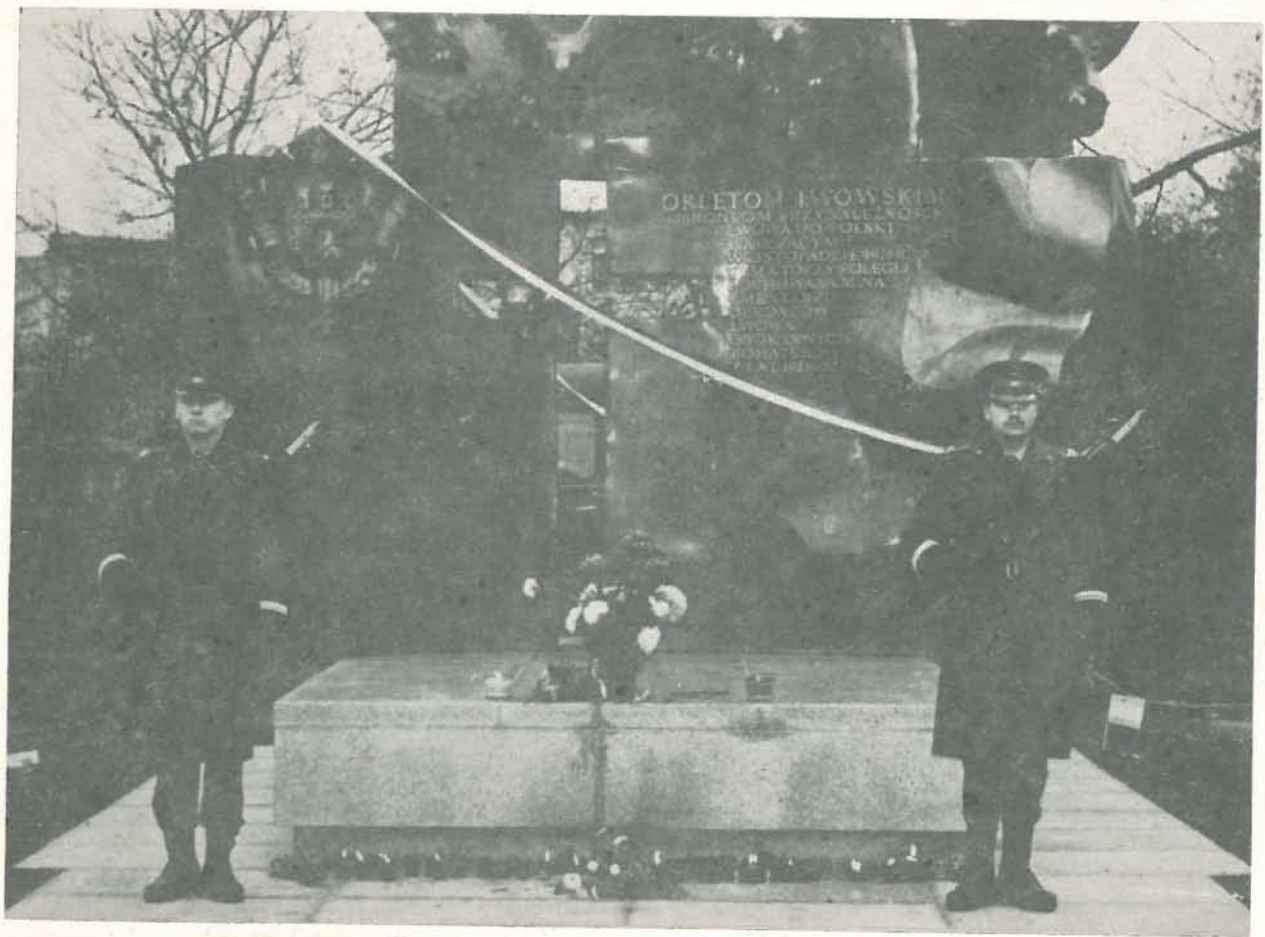


SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

1 (11) 1992

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW WSCHODNICH ● WROCŁAW



SEMPER FIDELIS

DANUTA NESPIAK Nim zaśpiewasz <i>Alleluja</i> ...	1
KRYSTYNA ROSZEK-MASIAK Likwidacja więzienia stryjskiego przy ul. Trybunalskiej (Hołówki) przez NKWD w 1941 r.	3
ADAM WIĘCEK Dawne kresowe miasto Brzeżany – jego dzieje i zabytki	6
BOLESŁAW OPAŁEK Rocznicowe leopolitana w Krynicy	10
ZDZISŁAW J. ZIELIŃSKI Lwówianin – ojcem bomby wodorowej	11
JÓZEF DRZAZGA Juliusz Stefan Petry	12
JÓZEF JUZWA Droga wiodła przez Zaleszczyki	14
F. K. A było to w Bieszczadach	16
KS. LESŁAW JEŻOWSKI Lwów – Stanisławów – Turka, czyli jak byłem lwowskim paczkarzem	17
WŁADYSŁAW BOHR Wspomnienia byłego studenta	19
ANDRZEJ RYBICKI Więzenie NKWD – Lwów, ul. Zamarstynowska	20
ZDZISŁAW J. WINNICKI „...gdybym kiedyś o Nich zapomniał Ty Boże na niebie zapomnij o mnie...”	21
ANDRZEJ RYBICKI Pomnik pod Jasionowem	23
AKTUALNOŚCI	24
POLEMIKI	28
MARIA SAWICKA Na Panoramic Raclawickiej	30
RECENZJE	33
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	33

REDAGUJE KOLEGIUM W SKŁADZIE: Jan Akielaszek, Andrzej Chlipalski, Lesław Flis, Wiesława Jeleńska-Hombek, Andrzej Kamiński, Danuta Kotowicz, Danuta Nespiak, Stanisław Sławomir Nicieja – przewodniczący, Zdzisław Ojrzyński, Jan Ziembicki

REDAKCJA: Wiesława Jeleńska-Hombek – redaktor odpowiedzialny, Danuta Nespiak – redaktor naczelny, Zdzisław Ojrzyński, Irena Zaucha – asystent redaktora

ADRES REDAKCJI: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa – Wrocław, Rynek Ratusz 7/9 tel. 44-88-93

WYDAWCA: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.

Na I stronie okładki – pomnik Orłąt Lwowskich na cmentarzu Św. Rodziny we Wrocławiu (fot. Z. J. Zieliński)

Wszystkim naszym Czytelnikom i Sympatykom w kraju i za granicą zwłaszcza wschodnią, wszystkim tym, którzy okazują nam tyle życzliwości i nie szczędzą pomocy finansowej, redakcja „Semper Fidelis” przesyła serdeczne życzenia „Wesołego Alleluja”.

Dzięki Waszemu poparciu i słowom zachęty mimo trudności (brak lokalu, wyposażenia) wydajemy na przekór wszystkim przeciwnościom „Semper Fidelis”. Wybaczcie nam niedociągnięcia, nie są one wynikiem naszej złej woli. Codziennosc jest trudna, ale niech wielkanocny czas pomnoży w nas nadzieję.

Życzenia kierujemy również do redakcji pism kresowych w Polsce, a zwłaszcza „Gońca Kresowego” i „Gazety Lwowskiej”. Trzymajmy się.

Redakcja

DANUTA NESPIAK

Nim zaśpiewasz Alleluja...

to wiedz drogi kresowiaku, że ten przyspiew w pieśniach wielkanocnych wzięty jest z języka hebrajskiego, w którym *hallelū-Jāh* znaczy dosłownie „chwalcie Boga”. Kościół utrzymał ten wyraz w liturgii, podobnie jak greckie *Kyrie elejson*, żeby wszyscy wyznawcy Chrystusa mieli świadomość, iż jeden jest kościół, który zrodził się na początku z dzieci Izraela, synów Grecji oraz niewolników i patrycjuszów starożytnego Rzymu.

Tak na bazie kultury śródziemnomorskiej zaczął się w Europie formować świat wartości chrześcijańskich. Około roku 1000 nowe państwa chrześcijańskie rozszerzyły granice świata chrześcijańskiego na wschodzie Europy, ale Polska Mieszka I w 966 r. weszła w orbitę łacińskiej kultury, a Ruś Kijowska Włodzimierza Wielkiego w 988 r. w orbitę kultury bizantyjskiej. Powstał z tego splot motywów religijnych, narodowościowych, kulturalnych, gospodarczych, który od owego roku 1000 nadał ziemiom pogranicza polsko-ruskiego znamiona szczególne, bo wzbogacone blaskiem ormiańskiego orientu i żydowskiej diaspory. Te szczególne znamiona mimo 50 lat komunistycznej indoktrynacji utrzymały się na tym pograniczu do dziś, mimo że zniknął żywy świat żydowski i ormiański, a ogromnemu spustoszeniu, czy właściwie demograficznemu wyrugowaniu uległa tam polskość.

Dzisiaj po obu stronach wschodniej granicy *Alleluja* śpiewają wierni kościołów rzymsko- i grekokatolickich, a także cerkwi prawosławnej. Natomiast gdy w Polsce w gliwickim kościele ormiańskim Św. Trójcy też się rozlegnie *Alleluja*, to być może nadal będzie panować głucha cisza we wnętrzu zamkniętej katedry ormiańskiej we Lwowie. Dlaczego? Szanujemy przecież w Europie końca XX w. prawa mniejszości narodowych. I mimo że niektórzy usilnie posądzają nas o ksenofobię i nietolerancję, to przypominam, że jeszcze Polska piastowska i jagiellońska

prawa mniejszości narodowych szanowała. Przykład pierwszy z brzegu — kiedy Kazimierz Wielki przyłączył do Korony Ruś Czerwoną, Ormianie byli już silną nacją we Lwowie i król przyznał im w 1356 r. prawo organizacji we własnej gminie, a niedługo potem wystawił dokument lokacyjny dla katedry ormiańskiej. Drugie największe obok Lwowa centrum ormiańskie w jagiellońskiej Polsce — Kamieniec Podolski — posiadał samorząd od 1496 r., a w XVI w. Ormianie mieli tu własną szkołę, 4 kościoły i szpital. W sumie osiedlili się Ormianie w 30 miastach królewskich i prywatnych, najliczniej we Lwowie, Stanisławowie, Jazłowcu, Kutach, Łucku, Czortkowie, Brzeżanach. A Żydzi? Warto tutaj też coś przypomnieć, gdyż wmawia nam się u schyłku XX wieku antysemityzm. Kupcowi żydowskiemu Ibrahimowi Ibn Jakubowi zawdzięczamy obszerniejszą relację o Polsce. Ruchliwy kupiec przybył z Tortosy w Hiszpanii do Czech i państwa Mieszka I około 966 r. O Żydach w Polsce dowiadujemy się ze źródła hebrajskiego z pierwszej połowy XI w. (*Jehuda ha Kohen*), które wymienia m.in. Żydów przebywających w Przemyślu wygnanych z Pragi czeskiej.

Zwiększony napływ Żydów do Polski piastowskiej spowodowany był ich prześladowaniami w Europie Zachodniej. Tu, w Polsce, nadano im w 1264 r. przywilej zwany statutem kaliskim, gwarantujący swobodny handel, bezpieczeństwo życia, ochronę mienia osobistego i swobodę praktyk religijnych. W latach 1364 i 1367 Kazimierz Wielki wydał Żydom przywileje regulujące ich życie w całym państwie. Przywileje te potwierdził Kazimierz Jagiellończyk w 1453 r. oraz następną monarchowie, tak że były one aż do rozbiorów Polski podstawowymi dokumentami regulującymi stanowisko prawne Żydów w Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

W połowie XIV w. na Śląsku, będącym już wówczas pod panowaniem niemiecko-czeskich Luksemburgów, doszło do pogromów żydowskich. Żydowskie uchodźcy, podobnie jak wielu Żydów wygnanych z zachodniej Europy, schroniło się w Polsce. Życzliwie przyjęci przez Kazimierza Wielkiego, objęci opieką królewską, zaczęli zakładać pierwsze regularne osiedla — np. w 1356 r. we Lwowie, w 1367 w Sandomierzu. Tak się szanowało prawa mniejszości narodowych jeszcze w piastowskiej Polsce.

A jako być może nieznanym zmęczonym obywatelom III Rzeczypospolitej interesujący fakt mądrości obywatelskiej kresowiaków sprzed wieków przytaczam ten oto przykład. W 1589 r. zawarli rajcy miejscy Kamionki Strumiłowej (woj. tarnopolskie) ugodę z tamtejszymi Żydami. Rajcy „przyjęli Żydy wszystkie do prawa swego, do wolności wszystkich”, a Żydzi zobowiązali się brać udział w pracach porządkowych, odprawiać straż itp., rajcy zaś przyrzekli „te Żydy bronić jako właśnie sąsiadów naszych od przynagabywania i od gwałtów, tak szlachty jako i od żołnierza one bronić i nie dopuszczać im krzywdy czynić gdyż są sąsiedzi nasi”. Owo poczucie solidarności między nacji niech weźmie górę i dziś, żeby nie okazało się, że owi rajcy miejscy z Kamionki Strumiłowej byli mądrzejsi niż niejeden ze współczesnych pomazańców polityki wypowiadających się np. na temat Lwowa i zachowania tam dobrosąsiedzkich stosunków między nacji.

Dlaczego o tym piszę, zamiast składać życzenia wielkanocne? Ano dlatego, że mącą niektórzy wokół TML i „Semper Fidelis”. Wschodnia Europa zmienia się i nikt na dobrą sprawę nie wie, poza Panem Bogiem, jak potoczą się dzieje. Może zabrzmi *Alleluja* z katedry ormiańskiej we Lwowie? Wielkich tego świata w parlamentach i gabinetach rządowych Europy nie obchodzą, co jest zrozumiałe, malutkie lokalne sprawy polskie, które są dla nas ważne, np. jak wywalczyć dla naszych rodaków na Wileńszczyźnie i za Zbruczem ten sam „standard” praw mniejszości narodowych, jakie te mniejszości mają w Polsce. Bo Polacy tam te prawa oficjalnie mają, tylko nie mają np. we Lwowie własnego lokalu, prasy polskiej drukowanej na miejscu i skromnych choćby dotacji (Dla porównania: wychodzące w Polsce w języku ukraińskim „Nasze Słowo” z dnia 9 II 1992 r. podało, iż w ubiegłym roku tylko polskie Ministerstwo Kultury przyznało dotacje dla: Stowarzyszenia Ukraińców w Polsce — 1 352 730 000 zł, Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego — 25 000 000 zł, Towarzystwa Ochrony Pamiątek Cerkiewnych — 15 000 000 zł, Prawosławnego Bractwa — 50 000 000 zł, razem 1 422 730 000 zł).

Piszemy w naszym kwartalniku na tematy „kresowe” zgodnie z życzeniami naszych Czytelników. Jak mamy się bronić tu, w Polsce, przed krzywdzącymi opiniami niektórych przedstawicieli elit politycznych wyrażanymi w prasie i telewizji? Jak zareagować na insynuacje podane polskiemu dziennikarzowi we Lwowie, że polscy szowiniści z Towarzystwa Przyjaciół Lwowa przypinają wojewodzie lwowskiemu Władysławowi Czornowiłowi łatkę nacjonalisty? („Polityka” nr 6 z 8 II br., artykuł *W uścisku historii*). Otóż jeden jedyny raz zamieszczona była wzmianka o wojewodzie lwowskim, że nie zwrócił dotychczas społeczności polskiej we Lwowie ani jednego kościoła, w tym kościoła Św. Elżbiety („Semper Fidelis” nr 2-3, 1991, s. 27). Gdzie ta łaska nacjonalisty? **Nigdy w żadnej wypowiedzi prasowej czy na naszych zjazdach i zebraniach nie dyskutowaliśmy o wojewodzie lwowskim i nigdy nie przypięliśmy mu łaski nacjonalisty.** Myślę, że większość naszych członków i czytelników nie zna w ogóle jego nazwiska. Żałujemy natomiast

obecnie, że jako ci, którym chyba najbardziej na dobrosąsiedzkich stosunkach z Ukrainą tam rodziny, domy i groby), nie zareagowałeś oświadczeniem pana Władysława Czornowiła Stefana Bandery, że „W Polsce istnieje podobny przesłanek rozumowych stereotypów tego człowieka jako ukraińskiego mordercy. Dla nas jest to taki przywódca walk narodowych na terenie całej Ukrainy. I dlatego twierdzę, że UPA jest formacją analogiczną do AK w Polsce” (vide wywiad z W. Czornowiłem pt. *Lwowskie laboratorium*, „Trybuna” z 17 X 1990).

Bardzo nas bolą i niepokoją wypowiedzi Pana Jak potraktować odpowiedź pana profesora Modzelewskiego na nasze oświadczenie dotyczące jego komentarza do filmów o Lwowie emitowanych dwukrotnie w telewizji (listopad 91, styczeń 92) twierdzący, że pojednanie polsko-ukraińskie jest niemożliwe bez prawdy i trzeba usunąć białą plamę, dlatego zarazem mówi o uleganiu schematycznej odpowiedzialności Ukraińców wobec Polaków.

Jeszcze raz powtarzamy — **nie uznajemy żadnej odpowiedzialności, panie profesorze!** Nam chodzi o odpowiedzialność UPA wobec cywilnej i moralnej polskiej na Kresach. Przykładów ludobójstwa mamy podać tysiące — żyją świadkowie. Napięty w odpowiedzi: „Dla pojednania niezbędne jest, aby Ukraińcy, którzy pragną zgody, zdobyli się na wyznanie swoim rodakom o mordach, jakich dokonali się ukraińscy nacjonałiści, Polacy zaś muszą do Polaków o zbrodniczej akcji „Wisła” i o obozie w Jaworznie” (*O pojednaniu polsko-ukraińskim. Winy własne i cudze*, „Gazeta Robotnicza” z 5 II br.). Akcja „Wisła”, jak Pan sobie przypomniał, została potępiona przez Senat Rzeczypospolitej. A czy akcje UPA np. w powiatach Brody, Brzeżany, Buczacz, Czortków, Dolina, mionka Strumiłowa, Horodenka, Kołomyja, Nadwórna, Podhajce, Skalat, Stryj, Terebłat, Złoczów, Żółkiew, nie mówiąc już o całym kraju, zostały przez władze Zachodniej Ukrainy jakkolwiek potępione? I jeszcze jedna różnica w rozumowaniu się do win. Stefanowi Banderze i Iwanowi SS „Hałyczyna” stawia się pomniki, w Polsce natomiast postawił pomników dowódcom wojskowym „Wisła”. I jest jeszcze chyba inna zasadnicza różnica między wysiedleniem a wymordowaniem ludności. Czy w kontekście tego nie brzmi trochę fałszywie podsumowanie, którym Pan zakończył swoją wypowiedź. „Pozycja nasza będzie wówczas silna, jeśli sami będziemy mieli czystą kartę. Nie oczywiście poprzez wstydlive przemilczanie, lecz przez racjonalne sumienia”. Mimo wszystko mamy chyba czystą kartę, a poza tym dlaczego w imię prawdy, o której Pan apeluje, nie proponuje Pan rachunku sumienia na drugiej stronie. To ma być partnerski dialog. Nasza będzie silna wtedy, kiedy będziemy mieli do dyspozycji rzeszę polityków zdolnych do obiektywnych ocen z obu stron tego trudnego dialogu.

A jak zareagować na głośne w środowiskach kresowym (a może nie tylko kresowym) wystąpienie pana poseła Aleksandra Małachowskiego? Poseł ma prawo do wyrażania takich poglądów.

Natomiast nie będąc zorientowanym, że pomoc dla rodaków zza wschodniej granicy świadczona przez środowisko kresowe obejmuje również tych, których się wspiera ze względu na ludzką biedę, a nie na narodowość, nie ma prawa insynuować, iż siejemy narodową niezgodę.

Z przykrością stwierdzamy, że są osoby w Polsce, którym zależy, żeby „upolitycznić” TML i „Semper Fidelis”. Jesteśmy stowarzyszeniem społeczno-kulturalnym o zasięgu ogólnopolskim, przyjaciół i sympatyków mamy dosłownie na wszystkich kontynentach, drogie jest nam wielonarodowe dziedzictwo kulturalne Kresów wyrosłe na tradycji piastowskiej i jagiellońskiej, apelujemy o jego ochronę, zwłaszcza cmentarzy i zabytków sakralnych, dokumentujemy historię, taką jaka była.

Uważamy też za swój moralny obowiązek upominanie się o pamięć i poszanowanie miejsc, gdzie ginęły niewinne ofiary nienawiści rasowej, religijnej, narodowej, bo takich ofiar właśnie na Kresach było

najwięcej. Niestety ci, którzy wypowiadają się na tematy kresowe, mając łatwy dostęp do mass-media, prezentują niekiedy słabą znajomość tego zagadnienia. Brakuje bowiem literatury na ten temat. Czy jest np. naukowe opracowanie historyczne pierwszej sowieckiej okupacji Lwowa 1939-1941 – może przygotowywane są rozprawy doktorskie z tego zakresu?

Mając na uwadze absolutną potrzebę dobrych stosunków z sąsiadami w ogóle, a z tymi ze wschodu w szczególności, wydaje się, że przy całej życzliwości dla budzącej się wolności i państw prawa Litwy, Białorusi, Ukrainy, należy zachować jednak pewne minimum odwagi w sferze prezentowanej polskiej racji stanu.

Wielkanoc jest największym świętem chrześcijan. Jest świętem nadziei, zwycięstwem Chrystusa nad śmiercią i grzechem. Nadzieją na rozwiązanie trudnych problemów Europy Wschodniej jest tylko dialog. Nie utrudniajmy go przede wszystkim sobie nawzajem.

HISTORIA

KRYSTYNA ROSZEK-MASIAK

Likwidacja więzienia stryjskiego przy ul. Trybunalskiej (Hołówki) przez NKWD w 1941 r.

Najsilniejsza więź, jaka łączy narody i stanowi o ich egzystencji, to tradycja, czyli pamięć przeszłości. Wyrażać ją można poprzez różne symbole, jak stawianie pomników, tablic, budowli. Najtragiczniejsze jest jednak stwierdzenie, że nie możemy uczcić uświęconych miejsc z powodów od nas niezależnych.

Klub „Strzecha Stryjska” powstał spontanicznie, gdyż dosłownie na apel jednego człowieka w 1989 r. zjawiała się gromadka mieszkańców dawnego Stryja, która z wielką ekspansją rozpoczęła swoją działalność, jakby chciała nadrobić 40-letnie milczenie.

W tym opracowaniu chcę przedstawić w sposób jak najbardziej wiarygodny okoliczności masakry więźniów w stryjskim więzieniu przy ul. Trybunalskiej w 1941 r. Mordu dokonało sowieckie NKWD, jakby chcąc zaznaczyć tym „pożegnaniem” krwiożerczość całego systemu komunistycznego.

Opieram się na: 1) opisie pogrzebu przez ks. Wojciecha Golenia, ówczesnego proboszcza w Stryju; 2) relacji osób, które były świadkami wydobywania ciał pomordowanych i uczestnikami pogrzebu; 3) wspomnieniach więźnia, przebywającego w tym czasie w więzieniu (autor prosił o niepodawanie nazwiska); 4) relacji mieszkanki obecnego Stryja (również prosiła o anonimowość); 5) doniesieniu dr Krystyny Gorczyńskiej, której brat zaginał w tymże więzieniu. Każda relacja jest podpisana przez sprawozdawcę. By uzmysłwić, na jakie trudności napotyka „kronikarz”

chcący wiarygodnie przedstawić dany fakt, przytoczę następujący przykład: Kiedy na zebraniu „Strzecha Stryjskiej” zapytałam zgromadzonych, ile było pomordowanych, odpowiedzi były bardzo zróżnicowane. Ponadto liczba podana w pamiętnikach proboszcza nie jest równoznaczna z liczbą grzebanych. W 52 trumnach umieszczano po dwa ciała. Resztę grzebano pokotem. Po prostu zabrakło trumien, albo ciała były już w takim stadium rozkładu, że nie nadawały się do włożenia do trumny. Były to niezidentyfikowane zwłoki. Rozpoznane ciała były chowane przez rodzinną czy przyjaciół. Zatem trudno na suchych faktach, bez odpowiedniej interpretacji, ustalić rzeczywistą prawdę. Toteż ażeby mieć jeszcze jeden punkt oceny, poprosiłam „tubylczą” Ukrainkę, zagorzałą komunistkę, mieszkającą stale w Stryju, ażeby dorzuciła swoje uwagi.

Niezrozumiały na początku był dla mnie fakt, iż zwłoki wydobywane z dołów kloacznych były przysypane ryżem i cukrem. Wytłumaczono mi, że Sowieci prócz likwidacji ludzi, likwidowali też magazyny żywnościowe. Stąd ten ryż i cukier na zwłokach pomordowanych.

A teraz opis tragicznych dni czerwcowych 1941 r. w Stryju (Wypiski z życiorysu ówczesnego proboszcza w Stryju ks. Wojciecha Golenia. Pamiętniki są przechowywane we Wrocławiu w Ossolineum).

„Wkrótce na podwórzu sądu i więzienia dokona-

no strasznego odkrycia — z kanału wydobyto przeszło 100 trupów w najwyższym rozkładzie. Tylko dla części zdołano przygotować trumny. Przed pogrzebem weszliśmy na podwórze. Makabra — trupy rozrzucone w nieładzie, powietrze nieznośne. Leżeli obok siebie Ukraińcy i Polacy już na zawsze pojednani — tortury i śmierć przywróciły zgodę. Tłum ludzi oczekiwał, przed bramą uformował się pochód — wyniesiono 52 trumny. Ja w asyście ukraińskiego proboszcza ks. Leszczyńskiego prowadziłem kondukt na cmentarz. Przygotowano wspólny grób w kształcie koła i wśród płaczu układano trumny obok siebie. Nabożeństwo za pomordowanych odprawiono w kościele i cerkwi”.

Relacja Kazimiery Szychlińskiej-Kuczekowej:

„Ludzie przypuścili szturm do gmachu sądu, biegli do więzienia szukać swoich. Wjeżdżały wojska niemieckie. Ukraińcy utworzyli milicję. Na drugi dzień po zajęciu miasta poszłam z koleżankami zobaczyć, co dzieje się na terenie więzienia. Po 50 latach jeszcze widzę ten makabryczny obraz. Tłum ludzi lamentujących, rozkrzyczanych miotał się i kłówał na dziedzińcu więziennym, gdzie odkopano kilka długich głębokich rowów, w których jedne na drugich leżały zwłoki ludzkie. Nie wiadomo w ilu warstwach. Roje zielonych much latały i siadały na martwych i na nas żywych. Zwłoki czerwone, opuchnięte, wyglądały jak przypalone na ogniu. Ciała przysypane były czymś białym, jak mąka i kasza [...]. Na razie ruszył kondukt kilkudziesięciu furmanek, wiozących szczątki pomordowanych na cmentarz. W egzekwacjach wzięło udział rzymsko- i grekokatolickie duchowieństwo oraz nieprzeliczone rzesze mieszkańców miasta”.

Relacja Jadwigi Soji-Konteckiej:

„Widziałam masakrę w więzieniu w Stryju przy ul. Trybunalskiej. Otwarte bramy więzienne, kanały z otworami wielkości małego okna, a w tych kanałach pomordowani ludzie. Czynu tego dokonało sowieckie NKWD w dniu wybuchu wojny z Niemcami. W pierwszych dniach lipca odbył się zbiorowy pogrzeb pomordowanych. Kondukt ciągnął się kilometrami, przy rozpoznanych, których zwłoki więzione były na furmankach, szły rodziny. Na platformach całe stopy

tych niezidentyfikowanych. Niemcy fotografowali, tłumy ludzi. Pochowani zostali na cmentarzu, gdzie był trawnik wokół krzyża przed cmentarzem wojskowym z czasów pierwszej wojny światowej.

Gdy w 1973 r. byłam w Stryju, będąc na grobach moich dziadków, modliłam się nad tymi grobami zarośniętymi trawą. Palily się tu znicze, czyli ludzie Stryja pamiętają o tych, którzy tam leżą...”

Relacja Zbigniewa Wocha:

„Po ucieczce NKWD otwarto bramy więzienia i wchodzącym przedstawił się makabryczny obraz. Szambo więzienia wypełnione było dziesiątkami pomordowanych. Egzekucji dokonano w łaźni więziennej, gdzie podłoga i ściany były zbryzgane krwią ofiar. W jednym z kątów leżał stos czapek więziennych. W tłumie rozgrywały się dantejskie sceny rozpaczycy osób, które poszukiwały swoich bliskich. Jednak niewielu ich rozpoznało. Większość stanowili ludzie z rejonu, których dowożono i więziono w Stryju. Na pewno i inne pomieszczenia więzienia były świadkami wielu tragedii. Zresztą nie tylko w więzieniu dokonano makabrycznego odkrycia. W sąsiadującym budynku Starostwa przy ul. Fruchtmana, gdzie mieściło się NKWD, widok był również makabryczny — na zwłoki wysypano zapasy cukru i ryżu, by nie wpadły w ręce Niemców. Trudno określić ściśle liczbę ofiar NKWD. Szacunki są różne; od 100 do 200 osób. Część rodzin, które rozpoznały swoich bliskich, zabrała zwłoki. Pozostałe złożono po dwie osoby w trumnach z białych sosnowych desek. Sądzę, że trumien było około 50, czyli około 100 zwłok. Kilka dni później chyba, 5 lipca w sobotę, odbył się uroczysty pogrzeb ofiar. Kondukt składający się z kilkunastu wozów, po 2 lub 3 trumny na każdym wozie, ruszył spod więzienia na cmentarz. Prowadziło go duchowieństwo rzymsko- i grekokatolickie. Mnóstwo czarnych chorągwi z kościołów i cerkwi. Tłumy ludzi szły z konduktem i wypełniały ulice. Była to wspólna manifestacja polsko-ukraińska. Na cmentarzu przygotowano zbiorową mogiłę wokół ronda cmentarnego przed wejściem na cmentarz wojskowy. Istniejący tam grób lotnika radzieckiego usunięto i postawiono jak dawniej duży krzyż. Mogiłę kopali spędzeni tam przez ukraiński komitet pogrzebowy

APEL

Archiwum Wschodnie i Samodzielna Pracownia Dziejów Ziemi Wschodnich II RP Instytutu Studiów Politycznych PAN ogłaszają konkurs na pamiętnik „Kresy Wschodnie pod okupacjami 1939-1945”. Chodzi nam zwłaszcza o opis dnia codziennego pod okupacją (sowiecką, niemiecką, a także litewską), form biernego i czynnego oporu, zmian w stosunkach własnościowych, niszczenia polskich instytucji gospodarczych, kulturalnych, oświatowych czy kościelnych, osadnictwa z głębi ZSRR na Kresach, a także innych istotnych problemów według uznania Autorów i widzianych przez pryzmat ich własnych doświadczeń. Niepublikowane prace (pożądane kserokopie ewentualnych dokumentów i reprodukcje zdjęć), opatrzone własnoręcznym podpisem, należy

nadsyłać do 30 IV 1992 roku pod adresem Centrum Dokumentacji AW, Krakowskie Przedmieście 25, 00-071 Warszawa (tel. 26-24-41, w. 359) z dopiskiem „Kresy”. Wyniki konkursu zostaną podane w niezależnym miesięczniku historycznym „Karta” w czerwcu 1992 r. Po ich ogłoszeniu wszystkie pamiętniki stają się własnością Archiwum Wschodniego (z zachowaniem praw autorskich uczestników), gdzie zostaną zabezpieczone i skatalogowane. Autorom najciekawszych pamiętników zostaną złożone oferty druku całości lub fragmentów. Nagroda I wynosi 5 mln zł, II — 3,5 mln zł, III — 2 ml zł. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego rozdziału nagród.

Żydzi. Przy płaczu i szlochaniu obecnych modlili się polscy i ukraińscy księża. Mogiłę pokryły tysiące kwiatów i zapalonych świec.

Dalsze dzieje mogiły były takie, jak wielu innych miejsc pamięci w ZSRR — zrównano ją z ziemią, a teren pokryto asfaltem, poszerzając w ten sposób okrężną aleję dookoła ronda. Krzyż oczywiście zlikwidowano. W 1989 r. miejscowa ludność ustawiła nowy krzyż, zdobiąc go tylko emblematami ukraińskimi. W nocy milicja krzyż zlikwidowała. W niedługim czasie ustawiono znów nowy krzyż na solidnym betonowym fundamencie. Ten krzyż przetrwał do dziś”.

Relacja Jerzego Arendarczyka:

„Przeminęła okupacja sowiecka, Niemcy uderzyły w 1941 r. na Rosję Sowiecką. Wyszliśmy w niedzielę z ojcem do kościoła. Po drodze dowiedzieliśmy się, że kolejarze polscy rozbili bramę więzienną i odkryli trupy więźniów. Po wejściu na dziedziniec zobaczyli ślady krwi, które prowadziły do ogromnego szamba. Na dziedzińcu stał zepsuty półtonowy samochód ciężarowy, na którym było pełno gałęzi obficie oblanych krwią oraz łopaty poplamione krwią i pokryte gliną. A więc był to ślad, że NKWD gdzieś za miasto wywoziło pomordowanych. Na dziedzińcu, gdzie nie było bruku, w ziemi znajdowały się zwłoki ludzi, których zakopano żywcem. W jednym miejscu natrafiłem na wystającą z ziemi rękę, która była jeszcze ciepła. Ale po odkopaniu okazało się, że mężczyzna zakopany żywcem już nie żył. Część ludzi było zakopanych w wapnie — nie mieli na sobie śladów pocisków. Reszta trupów miała z lewej strony głowy ranę w okolicy ucha. Używano kul nagana”.

Tak wyglądała relacja kolejarzy. Z ich opowiadań szczególnie jeden fragment godny jest zarejestrowania. Kiedy otworzono pokrywę szamba i zastanawiano się, jak stamtąd wydobyć trupy, usłyszano słaby głos wydobywający się spomiędzy trupów, wołający po ukraińsku o pomoc. Po wydobyciu go z szamba okazało się, że był to Hucuł, młody i silnie zbudowany. Zlano go strumieniami wody i stwierdzono, że miał w prawej piersi dwie rany od kul nagana. Według jego zeznań wyprowadzano z cel więźniów do łaźni. Zza drzwi otrzymał uderzenie łomem w tył głowy, stracił przytomność i upadł. Usłyszał: „ubit?”.

Był tak oszołomiony uderzeniem, że po wyjściu oprawców zamiast leżeć i udawać nieżywego, wstał i zatoczył się, uderzając nogą o jakieś blachy. Usłyszeli i wrócili pośpiesznie, a widząc go stojącego pod ścianą, oddali 2 strzały z nagana, raniąc go w prawą pierś. Odzyskał przytomność w szambie, ale od ostrego smrodu kręciło mu się w głowie. Z wysiłkiem wydostał się na ciała trupów i tak przyczajony czekał. Gdy zobaczył światło wpadające do szamba po odsunięciu pokrywy przez polskich kolejarzy — zmarł ze strachu. Ale gdy usłyszał polską mowę zorientował się, że nie ma Sowietów. Wówczas zawołał o pomoc.

Kilka dni po otwarciu więzienia przez Polaków urządzono uroczysty pogrzeb pomordowanych. Niestety tylko tych, których znaleziono na terenie więzienia. Ciał wywiezionych nocą za miasto i tam pogrzebanych nie odnaleziono.

Na środku cmentarza jest okrągły plac przed bramą wiodącą na cmentarz wojskowy. Tu był pochowany przez bolszewików pilot sowiecki, który jeszcze przed wojną niemiecko-rosyjską spadł z samolotem i zabił się. Ciało tego pilota odkopano i pochowano w innej części cmentarza. Na tym rondzie wykopano w kształcie podkowy bratnią mogiłę i tu bardzo uroczysto pochowano zamordowanych więźniów.

W kilka tygodni po tych wydarzeniach znaleziono w piwnicach więziennych zamurowanych jeńców niemieckich — pilotów bombowca zestrzelonego nad Stryjem. Zamurował ich Ukrainiec — murarz Kaniu-ga, którego później Niemcy schwytali. Na śledztwie przyznał się, że obcinał im kielnią palce, gdy błagali o szparke na powietrze. Został rozstrzelany.

Relacja więźnia, któremu udało się cudem uniknąć śmierci (prosił o anonimowość):

„Stłoczono Polaków do jednej wielkiej celi. Od strony łaźni słyszeli strzały z rewolweru. Gdy wszystko ucichło i nie było słychać kroków wartowników w korytarzu więziennym, próbowali wyważyć drzwi celi, ale bezskutecznie. Wtedy łyżką żelazną wydlubali tynk pieca, którego część znajdowała się w celi, a opalany był na korytarzu. Następnie butami wywalili cegły pieca na zewnątrz, a jeden, najmniejszy z nich, wydostał się na korytarz i odsunął zasuwę

APEL

Pod auspicjami Instytutu Historii PAN i Archiwum Wschodniego powstaje „Lista strat ziemiaństwa polskiego 1939-1956”. Obejmuje ona poległych, zaginionych, zamordowanych, zmarłych w obozach, na zesłaniu itp. Na „Liście” winny znaleźć się osoby (wraz z najbliższą rodziną) z terytorium całej II Rzeczypospolitej, a także spoza kraju, które po 1918 r. były właścicielami (współwłaścicielami) majątków ziemskich bądź dzierżawcami (administratorami), o ile pochodzili z rodzin ziemiańskich.

Prosimy o następujące dane: imiona, nazwiska (dla kobiet panieńskie), pseudonimy, herb i tytuły, imiona rodziców, nazwisko rodowe matki, data i miejsce urodzenia, nazwa majątku i powiat (przedwojenny), stosunek do tytułu własności (właściciel, syn właściciela itd.), wykształcenie (podać szkoły), zawód wykonywany,

stopnie naukowe, wojskowe i odznaczenia, ostatnie miejsce zamieszkania, przynależność do organizacji społecznych, gospodarczych i politycznych (również wojskowych konspiracyjnych) w całym okresie życia i pełnione w nich funkcje, data, miejsce i okoliczności śmierci (zaginięcia, aresztowania), miejsce spoczynku, wzmianki o ofierze w literaturze, nazwisko, adres, telefon osoby zgłaszającej i stopień pokrewieństwa.

Żyjących członków rodzin ziemiańskich z Kresów Wschodnich prosimy dodatkowo o informacje o własnych losach po 1939 roku z uwzględnieniem działalności społecznej, zawodowej, charytatywnej, wojskowej itd.

Materiały należy przysyłać pod adresem: Krzysztof Jasiewicz, ul. Stawki 21 m. 32, 01-040 Warszawa. Prosimy o czytelne pismo.

drzwi. Wyszli ostrożnie na korytarz. Kraty dzielące poszczególne korytarze też nie były pozamykane. Wtedy usłyszeli kroki na schodach. W panicznym strachu wrócili z powrotem do celi, usiłując ułożyć jeden drugiemu głowę pod pachę. Wkrótce usłyszeli otwieranie kolejnych drzwi pustych cel. Otworzyły się drzwi ich celi i usłyszeli radosne okrzyki po polsku: „Są tu żywi”. To dzielni kolejarze-Polacy wdarli się do więzienia i obwieścili, że Moskali już nie ma. Jaka była radość uwolnionych więźniów – trudno opisać. Jakim cudem ocaleli – pozostanie tajemnicą. Czy w ogólnym rozgardiaszu i bałaganie zapomnieli, czy po prostu wróg nie zdążył ich wymordować, uciekając w pośpiechu przed Niemcami”.

Relacja mieszkanki Stryja (również prosi o anonimowość):

„Przy likwidacji więzienia, ażeby odgłosy wystrzałów nie dochodziły do uszu mieszkańców Stryja, zamiast strzelać, miażdżono im głowy. Wstrząśnięta tą wiadomością zapytałam człowieka, który przeżył tę straszną masakrę w środku więzienia. Wy tłumaczył mi, że rzeczywiście posługiwali się Sowietami taką metodą mordowania więźniów. A ta maszynka to nie był «dziadek do orzechów», ale urządzenie, którym ogłu-

szano zwierzęta przeznaczone na ubój w rzeźniach”.

Ostatnia relacja pochodzi od dr Krystyny Górczyńskiej i odnosi się do osoby jej brata – Zbigniewa Górczyńskiego.

„W momencie wybuchu wojny był studentem II roku medycyny we Lwowie. Urodził się w 1920 r. we Lwowie. W kwietniu 1940 r. z 10-osobową grupą miał zamiar przejść granicę w Ławocznym. Zdradził przewodnik Hucuł. Straż graniczna aresztowała tę grupę, ale Zbigniew uciekł. Ponownie złapało go NKWD w Borysławiu. Siedział w więzieniu w Stryju. Z listów do rodziny wiem, że wraz z moim bratem siedzieli inż. Krotochwil, Ryłski i Peleński z Komarna. Całą grupę wywieziono w lipcu 1940 r. do Rosji. Natomiast Zbigniewa wywołano 19 VI 1941 r. i już do celi nie wrócił. No i tyle wiem...”

Dlatego przekazuję tę wiadomość, iż według wszelkiego prawdopodobieństwa podzielił los tych stryjskich więźniów, którzy zostali w nieludzki sposób zgładzeni w murach stryjskiego więzienia. Ojciec, znany stomatolog lwowski, później profesor Akademii Medycznej we Wrocławiu, do końca życia czekał na jakiś znak od swego jedyne go syna.

ADAM WIĘCEK

Dawne kresowe miasto Brzeżany – jego dzieje i zabytki

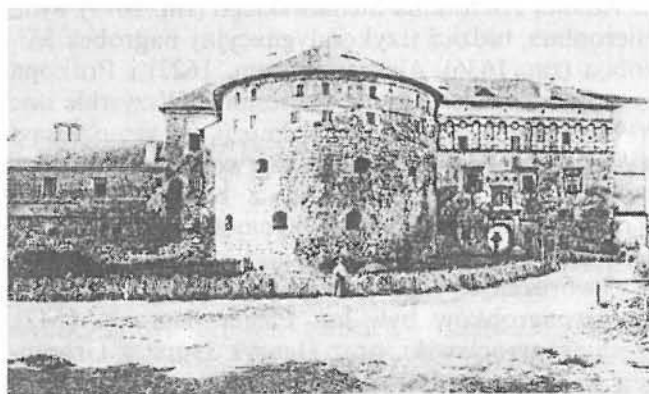
Pan Brzeżan w cudnej mieszka okolicy!
Zamek objęła rzeka w dwa ramiona;
Nad bramą klasztor, w murach zakonnicy,
Dalej – kaplica blachą powleczone.
W komnatach żadnej nie ujrysz różnicy
Od złotych komnat gdzie mieszkała Bona.
Pan Brzeżan lubi żyć w królewskim dworze:
Co ma król Polski i szlachcic mieć może.

Juliusz Słowacki



Widok ogólny miasta

Brzeżany leżą na Podolu w dawnym województwie ruskim nad rzeką Żółtą Lipą, nad pięknym, długości 3 km stawem. Miasto założone zostało w 1530 r. przez hetmana Mikołaja Sieniawskiego na prawie magdeburskim, nadanym przez króla Zygmunta I Starego. Przez pierwszych dwieście lat dzieje miasta wiązały się ściśle z rodem Sieniawskich, herbu Leliwa. Pierwszy właściciel miasta Mikołaj Sieniawski (zm. 1569) wznosił w osadzie, na miejscu dawnego dworu drewnianego, zamek obronny z licznymi budowlami, otoczył je wałami i murami obronnymi oraz rowami, które przez wiele dziesiątków lat dzielnie odpierały ataki hord tatarskich, tureckich oraz kozackich. Następcy Mikołaja również dbali o rozwój miasta i jego rozbudowę. Świadczyły o tym m.in. zachowane do niedawna liczne dworki szlacheckie z dwu- lub czterokolumnowymi gankami, rozsiane po obrzeżach miasta i jego najbliższej okolicy. Po śmierci ostatniego z rodu Sieniawskich Adama Mikołaja (zm. 1726) hetmana wielkiego koronnego, dobra brze-



Zamek Sieniawskich

żańskie przeszły w posiadanie Czartoryskich (1727), następnie poprzez koligacje rodzinne dostali je Lubomirscy. W dalszej kolejności weszli w ich posiadanie Potoccy (1816). W ich rękach miasto pozostawało prawie do wybuchu II wojny światowej. W 1934 r. ostatni właściciel dóbr brzeżańskich – Jakub Potocki – przekazał cały swój majątek Państwu Polskiemu.

W 1772 r. miasto zajęli Austriacy, którzy zmienili nazwę miasta na „Brzezan” (!). Pod zaborem austriackim, z krótkimi przerwami, kiedy to miasto zajmowali Rosjanie, pozostały Brzeżany do chwili odzyskania przez Polskę niepodległości. W latach 1918-1919 podczas walk polsko-ukraińskich opanowali je na kilka miesięcy Ukraińcy, ale już 21 VI 1919 r. wojsko polskie odbiło miasto z ich rąk. W kilka dni później, 29 VI 1919 r., gościł w Brzeżanach, wizytując oddziały wojska, Józef Piłsudski. W rok później miasto znów zajęły wojska bolszewickie. Ostatecznie odbite zostało przez Polaków 17 IX 1920 r. W 19 lat później miasto zostało ponownie opanowane przez wojska sowieckie i włączone do ZSRR. W latach 1941-1943 przejściowo zajmowali je Niemcy.

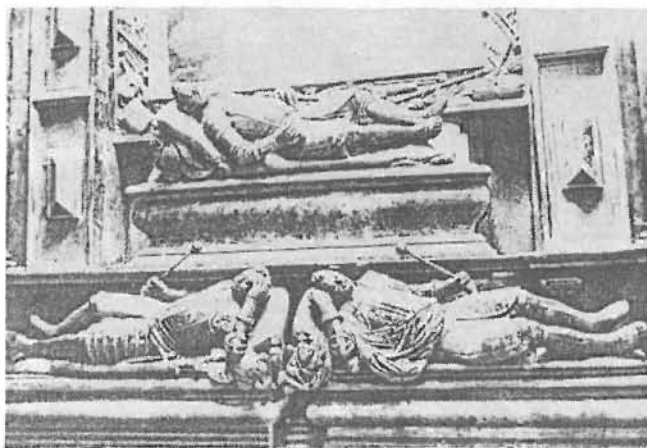
Kolejny etap rozkwitu przeżywały Brzeżany pod koniec XIX i na początku XX stulecia oraz w latach międzywojennych. Były wówczas siedzibą władz powiatowych i liczyły około 15 tys. mieszkańców.

W mieście czynne było gimnazjum, seminarium nauczycielskie, kilka szkół podstawowych i zawodowych, stacjonował tu 51 pp, istniało muzeum miejskie oraz wiele instytucji państwowych i samorządowych. Ukazywał się miesięcznik „Głos Brzeżański”. Miasto miało swój herb – brązowy jeleni na tle niebieskim, a nad nim biała wstęga na czerwonym polu.

Do najcenniejszych zabytków miasta należy niewątpliwie zamek Sieniawskich. Wzniesiony został na wyspie ujętej dwoma ramionami Żółtej Lipy, broniony ponadto ze wszystkich stron przez stawy i bagna. Zbudował go w 1534 r. Mikołaj Sieniawski, wojewoda ruski i hetman wielki koronny. Był to pięciobok zamknięty 2- i 3-piętrowymi budynkami mieszkalnymi. Wewnątrz wokół dziedzińca wznosiły się niegdyś krużganki arkadowe, na rogach zaś trzy potężne baszty obronne. Zamek, jak głosi wykuty nad renesansowym portalem napis, został zbudowany „Bogu na chwałę i na obronę wiernych chrześcijan”. Budowla miała charakter twierdzy o grubych murach z kamienia ciosanego, zaopatrzonych w strzelnice.

Wnętrza zamku były urządzone z ładu królewskim przepychem, służyły one właścicielom za mieszkania i do przyjęć. A te odbywały się na zamku brzeżańskim bardzo często. Spotykali się tu przedstawiciele okolicznych rodów szlacheckich, organizowane były zjazdy rodzinne, a od czasu do czasu podejmowani byli w tym zamku znaczniejsi goście. Widzimy wśród nich króla Augusta II, który udając się w 1698 r. na odzyskanie Kamieńca Podolskiego, bawił tu w gościnie. Później przebywał na zamku słynny przywódca powstańców węgierskich Franciszek II Rakoczy oraz car Rosji Piotr Wielki.

Ściany poszczególnych pokoi obite były karmazynowym brokatem o zielonym lub złotym tle, zaś jedna z sal miała obicie perskie przetykane złotem i srebrem. Na sufitach znajdowały się malowidła ze scenami batalistycznymi przedstawiające bitwę pod Żurawnem, Chocimiem czy zwycięstwo Sobieskiego pod Wiedniem. W dużej sali, zwanej królewską, wisiała kolekcja 48 starych portretów królów i książąt polskich. Posadzki były kamienne, marmurowe lub z drzewa. Na ścianach wisiały liczne obrazy przedstawiające wizerunki znaczniejszych przodków rodu Sieniawskich, królów, mężów stanu, dalej sceny rodzajowe i religijne. Całość uzupełniały meble po-

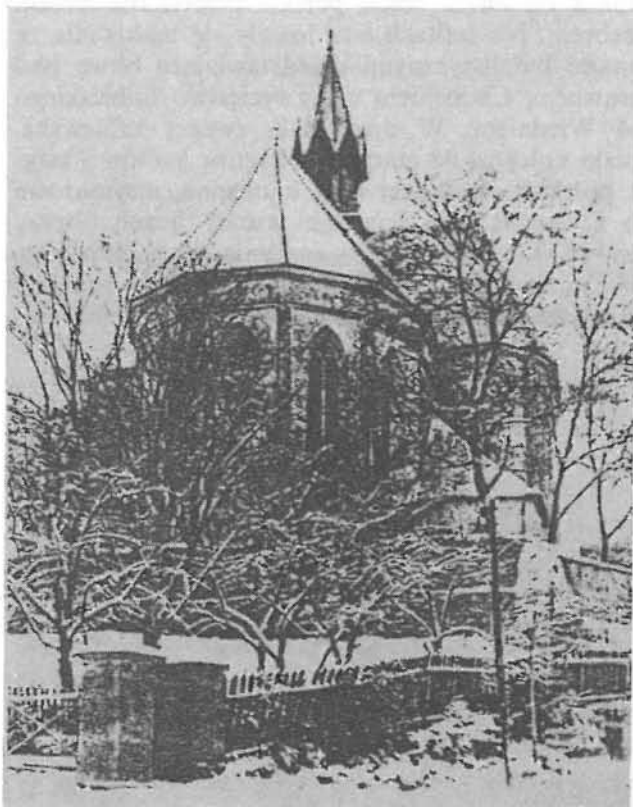


Kościół zamkowy – nagrobki Sieniawskich

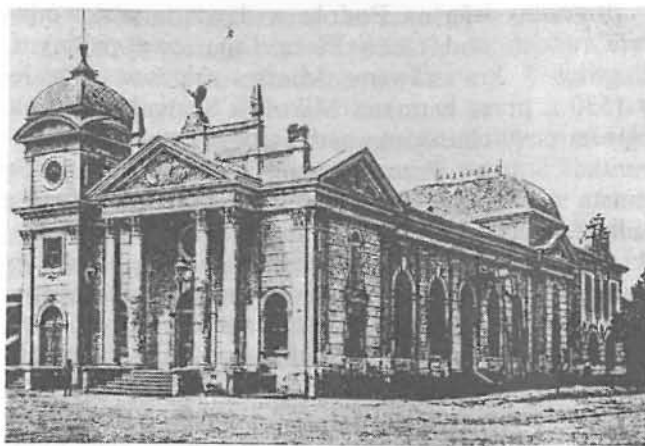
chodzące z różnych epok, okazała broń produkcji zachodniej i wschodniej, rzeźby oraz wspaniałe wyroby rzemiosła artystycznego (złotnictwo, cyna, porcelana). W oddzielnym pomieszczeniu mieściła się bogata biblioteka zawierająca dzieła w różnych językach i o różnej treści.

Wewnątrz dziedzińca przylegał do zamku renesansowy kościół pochodzący z połowy XVI stulecia, z dwiema bocznymi zwieńczonymi kopułami barokowymi kaplicami wzniesionymi w XVII w. Wyposażenie świątyni należało do szczególnie wytwornych, a wyróżniało się stiukową dekoracją figuralno-ornamentalną sklepień i kopuł. Ołtarz z białego marmuru z płaskorzeźbami i włoskim obrazem Matki Boskiej dopełniały reszty. Wybitnymi walorami artystycznymi odznaczały się nade wszystko późno-renesansowe nagrobki Sieniawskich z postaciami leżących rycerzy.

W pierwszej (wschodniej) kaplicy na uwagę zasługuje pełen monumentalności i powagi dwukondygnacyjny grobowiec założyciela Brzeżan Mikołaja oraz jego syna Hieronima (zm. 1583) Sieniawskich. Obok stał nagrobek Anny (zm. 1574), trzeciej żony Hieronima, rzeźbiony prawdopodobnie przez Hermana Hutte-Czapkę w czarnym i białym alabastrze. Na przeciwległej ścianie wmontowany był pomnik w kształcie ołtarza Jana (zm. 1584), najmłodszego syna Mikołaja, wykuty w 1584 r. również w alabastrze. W kaplicy tej umieszczone były ponadto cztery cynowe sarkofagi Sieniawskich z XVII w., przeniesione tu z podziemi kościoła w drugiej połowie XIX w. W 1920 r. w obawie przed nacierającymi wojskami bolszewickimi zostały one ewakuowane do Krakowa, gdzie je zatrzymano do konserwacji. Dziś eksponowane są na zamku w Pieskowej Skale.



Kościół parafialny



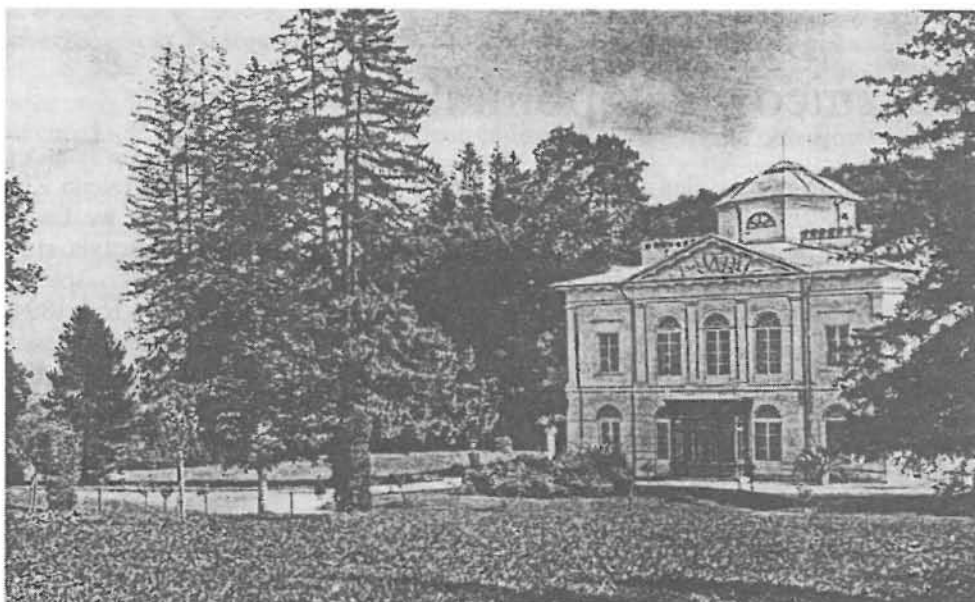
Gmach Sokoła

W drugiej kaplicy (zachodniej), pełnej rzeźb i dekoracji stiukowych, znajdowały się pomniki nagrobne Adama Hieronima Sieniawskiego (zm. 1619), syna Hieronima, tudzież trzykondygnacyjny nagrobek Mikołaja (zm. 1636), Aleksandra (zm. 1622) i Prokopa (zm. 1636), synów Adama Hieronima. Wszystkie one wykonane były z czarnego marmuru, zaś same posągi wykute zostały w marmurze czerwonym. W kaplicy znajdował się ponadto ołtarz z białego marmuru z obrazem Matki Boskiej (przeniesiony później do cerkwi).

Twórcami wyposażenia wnętrza kaplic oraz większości nagrobków byli Jan Pfister (zm. ok. 1642), rzeźbiarz wrocławski, oraz Henryk Horst z Groningen w Holandii. Pfister działał na dworze brzeżańskim od 1616 r. i z przerwami pracował tu aż do śmierci. Zmarł jako *civis Brzeżanensis*.

Losy zamku brzeżańskiego po wygaśnięciu rodu Sieniawskich były wręcz tragiczne. Zarówno Czartoryscy, a przede wszystkim Lubomirscy, jak i później Potoccy nie wykazywali nim żadnego zainteresowania, skazując go na niszczenie i zagładę. Część najcenniejszych przedmiotów wywieziono do rezydencji w Puławach, Łańcucie i Wilanowie, resztę zdołali zagrabić Austriacy. Z ich to polecenia zamknięto kościół zamkowy, a znajdujące się tam kosztowności przetopiono bądź sprzedano. Usunięto bastiony, a mury obronne i wały zlikwidowano. O ile jeszcze Czartoryscy mieszkali okresowo w zamku, to Lubomirscy i Potoccy pozostawili go na pastwę losu, a sami przenieśli swą rezydencję do pałacyku myśliwskiego w pobliskim Raju. Z biegiem lat Austriacy urządzili w zamku koszary, a później browar. Dopiero w drugiej połowie XIX w. pod naciskiem opinii publicznej Stanisław Potocki (zm. 1887) przystąpił do ratowania kościoła zamkowego, zlecając prace konserwatorskie rzeźbiarzowi prof. Leonardowi Marconiemu. Po śmierci zleceńodawcy świątynia znów podupadła.

W czasie pierwszej wojny światowej znalazł się zamek na linii frontu i znacznie ucierpiał. Pod koniec lat trzydziestych XX w. dowództwo 51 pułku piechoty w Brzeżanach podjęło myśl całkowitej odbudowy zamku i świątyni, niestety wybuch drugiej wojny światowej położył kres tym zamierzeniom.



Pałac w Raju

Do zabytkowych, godnych uwagi budowli należy również kościół parafialny pod wezwaniem Narodzenia NP Marii. Zbudowany został na przełomie XV i XVI stulecia z kamienia ciosanego w stylu gotyckim, później przerobiony przez Adama Hieronima Sieniawskiego. Nad renesansowym portalem widoczny był herb Sieniawskich – Leliwa. W świątyni zwracały uwagę dwa portrety Sieniawskich, niewykluczone, że pochodzące z zamku. Obok kościoła stała dzwonnica z 1630 r. Na niedalekim wzgórzu wznosił się ponad miastem klasztor i kościół Bernardynów, fundacja Hieronima Sieniawskiego. Zbudowany został w latach 1630-1683 w stylu barokowym i otoczony murem obronnym. Niedaleko rynku stała cerkiew greckokatolicka pod wezwaniem Św. Trójcy. Przerobiona została w XVII w. z dawnego składu towarów ormiańskich. Jest to budowla dwuwieżowa z kopułą, przebudowana w latach 1898-1903. W jednym z ołtarzy znajdował się wspomniany już obraz Matki Boskiej, przeniesiony tu w 1830 r. z kościoła zamkowego. W świątyni tej przechowywany był relikwiarz w postaci srebrnej trumienki z ręką św. Jana Chrzciciela, pochodzący z ołtarza polowego Mikołaja Hieronima Sieniawskiego.

Blisko cerkwi stał kościół ormiański, nieduży, otoczony murem, zbudowany w 1764 r. Wewnątrz zdobiły go stare interesujące witraże. Przy okazji warto wspomnieć, że w XVI-XVIII w. były Brzeżany siedzibą licznie tu osiadłych Ormian, którzy trudnili się handlem pomiędzy Wschodem a Zachodem.

Pośrodku miasta w rynku wznosił się ratusz, zbudowany dzięki Potockim w 1811 r. Był to jedno-

piętrowy budynek z wieżą i herbem Potockich na szczycie. Przez pewien czas mieściło się tam gimnazjum, a w latach międzywojennych muzeum miejskie. W pobliżu ratusza stał pomnik Jana III Sobieskiego dłuta Leonarda Marconiego, ustawiony z okazji 200 rocznicy odsieczy wiedeńskiej (1883). Istniała też w Brzeżanach żydowska synagoga sięgająca początkiem podobno XVI wieku, wielokrotnie w późniejszych latach przerabiana i przebudowywana, a na cmentarzu żydowskim zachowały się jeszcze nagrobki z XVIII wieku.

Niedaleko granic miasta, w osiedlu Raj znajdował się pałacyk myśliwski. Przerobiony został pod koniec XVIII stulecia ze starego, zniszczonego w 1709 r. zameczku z basztami. Nowo wzniesiony pałacyk był w stylu neoklasycznym, posiadał 4 wieże oraz kaplicę. Zamieszkiwali tu po opuszczeniu zamku Lubomirscy, a później Potoccy. Wnętrza urządzone były z przepychem, poszczególne pokoje zdobiły liczne obrazy, rzeźby, meble oraz duża biblioteka. Pałacyk należał do 1939 r. do Potockich.

Z nowszych budynków godne wzmianki są m.in. gmach Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” oraz gimnazjum im. Edwarda Rydza-Śmigłego, które na przełomie ubiegłego stulecia przeniosło się z ratusza do własnych pomieszczeń.

Godzi się jeszcze wspomnieć, że w brzeżańskiej uczelni pobierali naukę m.in. poeta Kornel Ujejski, historyk Bielawski, profesorowie Uniwersytetu Lwowskiego dr Emil Dunikowski i dr med. Antoni Sabatowski, ukraiński poeta M. Szaszkewycz, wybitny polski historyk prof. Józef Widajewicz oraz marszałek Edward Rydz-Śmigły.

Rocznicowe leopolitana w Krynicy

Okazją do przemyśleń i refleksji lwowskich, które mnie chronicznie nawiedzają, tym razem był listopadowy pobyt w naszym starym źródle Krynicy. Zapewne kresowa megalomania powoduje, że tam, gdzie aktualnie przebywam, widzę geniusz Lwowa i jego wpływ na dzieło wszelkiego tworzenia.

O tym wpływie myślałem patrząc na Parkową i Krzyżową, widząc wyobraźnię wędrującego po tych górkach dwieście lat temu uczonego Akademii Lwowskiej prof. Baltazara Hacqueta, który odkrywając niezwykłość wody w źródłach krynickich, dokonał następnie ich analizy chemicznej i ogłaszając wyniki, złożył wniosek do rządu o rozszerzenie źródła, jaki właśnie powstawał.

Ponad sto lat później inny uczony lwowski, geolog z Uniwersytetu Lwowskiego, prof. Rudolf Zuber, badacz Karpat, udzielił wskazówek do nawiercenia źródeł mineralnych, które na trwałe nazwano wodą „Zuber”. Odtąd „Zuber” jest synonimem leczniczych właściwości Krynicy. Co prawda mogłoby do tego nie dojść, gdyby wcześniej w latach pięćdziesiątych XIX w. inny uczony-lekarz, tym razem z Krakowa, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego dr Józef Dietl, nie uratował Krynicy jako źródła przed likwidacją, co gwoli sprawiedliwości należy również dodać.

W poszukiwaniu dalszych śladów rocznicowych odwiedziłem miejscowy Oddział PTTK, gdzie uprzejmy szef tej placówki udostępnił mi do wglądu cztery (bo tyle było na miejscu) książki zawierające „Listy gości zdrojowych” z lat 1897, 1900, 1901, 1904, którzy zjeżdżali zewsząd w celach kuracyjnych lub innych. Sfera moich zainteresowań objęła oczywiście gości przybywających do Krynicy ze Lwowa. I cóż te kroniki mówiły? Wykazały, że lwowianie stanowili od kilku do kilkunastu procent przybyłych, a w przekroju społecznym reprezentowali przede wszystkim środowiska urzędnicze, wojskowe, pedagogiczne, a także kupieckie, a te w większości izraelskie. Przyjeżdżały przeważnie żony (tak rejestrowano) pracujących w wymienionych zawodach mężów, same lub z dziećmi. Czasem całe rodziny, również ze służbą-czeladzią. Szukałem znanych nazwisk, reprezentujących szczególnie profesje lub indywidualności.

Na pierwszych kartach listy kuracjuszy z lipca 1897 r. wpisana została: „Zboińska Józefa wdowa po artyście z córką”. Nazwisko znanej śpiewaczki operowej skierowało mnie na drogę badań biograficznych z dziedziny teatru. Ustalenia odsłoniły bogaty rodów tej artystycznej lwowskiej rodziny, związanej przez długi czas ze sceną lwowską. Józefa Zboińska była siostrą Władysława Woleńskiego (Wolański właśc. Hertrich), aktora dramatycznego, występującego około 30 lat na scenie lwowskiej, do 1905 r. Mąż Józefy Zboińskiej, Marceli (urodzony w Woli k. Przeworska, powstaniec 1863 r.), aktor, śpiewak, reżyser — zaangażował się do teatru lwowskiego w 1872 r., grając w nim oraz reżyserując operetki (zmarł we Lwowie w 1896 r.).

Córka Helena Zboińska-Ruszkowska (urodzona 23 IV 1877 r. we Lwowie), kiedy z matką odwiedziła Krynicy, kończyła studia wokalne we Lwowie i rozpoczęła jako śpiewaczka karierę estradową. Była już wówczas (od 1894 r.) żoną Ryszarda Ruszkowskiego, aktora, śpiewaka, autora znanych komedii, m.in. *Jadzia wdowa* i *Wesele Fonsia*. Ruszkowski pracował w teatrze lwowskim w latach 1879-1889, a następnie po powrocie z Krakowa w 1894 r. występował w nim do końca życia. Zmarł w 1898 r. w wieku 42 lat. Kariera Heleny Zboińskiej-Ruszkowskiej to występy w Operze Lwowskiej do 1903 r., później na innych scenach w kraju i za granicą, z sukcesami na miarę światową, po czym praca pedagogiczna w Krakowie (tam zmarła w 1948 r.).

Józefa Zboińska wpisana jest na liście gości zdrojowych jeszcze raz w 1900 r., tym razem z wnukiem, synem Heleny, Wojciechem Ruszkowskim, który przedłużył rodzinną chwałę aktorską, występując długie lata jako znany, ceniony aktor teatrów rozrywkowych, operetki warszawskiej, oraz lwowskiej.

Dalsi „teatralni goście” to przybyli na gościnne występy w latach 1897 i 1900 Zespół Teatru im. hr. Skarbka we Lwowie pod dyrekcją Juliusza Bandrowskiego-Sasa, ze znanymi znakomitymi aktorami, jak Franciszek Wysocki i Józef Chmieliński. Tym czołowym aktorom gaże pozwalały na przyjazd „z rodziną”.

Teatr lwowski gościł tu w każdym sezonie z dużym powodzeniem. W lipcu 1904 r. zawitał pod dyrekcją Tadeusza Pawlikowskiego z *Warszawianką* St. Wyspiańskiego. W repertuarze miał wówczas także sztukę czysto lwowską: *Na Łyczakowie*, autora Franciszka Dominika (Dorowskiego), do którego czterech sztuk miał Pawlikowski szczególny sentyment, wystawiając je w czasie swojej lwowskiej dyrektury w latach 1900-1906. W tej sztuce, wystawionej po raz pierwszy we Lwowie w kwietniu 1902 r., określonej jako „wielka bomba ze śpiewami, tańcami i kupletami nie cenzurowanymi przez policję”, w Krynicy kuplety śpiewał Władysław Kwiatkiewicz.

Gościwie przyjmowany w Krynicy w latach 1897-1904 był lwowski chór akademicki „Echo”, bawiący tu w każdym sezonie.

Na liście gości nie kuracjuszy w lipcu 1897 r. znajduje się „Adam Wroński Dyrektor Orkiestry Zdrojowej”, który w tym samym roku objął dyrekcję orkiestry teatralnej we Lwowie. Praca we Lwowie nie przeszkadzała mu w każdym sezonie do 1904 r. prowadzić orkiestrę zdrojową.

Praktyki lekarskie prowadzą w Krynicy lekarze lwowscy, odnotowani w spisie gości w sezonie letnim 1897-1904, są to: dr dr Zygmunt Ashkenazy (zamelodowany z żoną i służącym w pensjonacie „Orzeł”) Klemens Dębicki, Józef Mayer, Stanisław Lewicki.

Na trwałe zapisał swoją obecność w Krynicy lwowskiej artysta-rzeźbiarz Antoni Popiel, twórca pomnika Adama Mickiewicza we Lwowie, który od 1904 r. podjął tu pracę artystyczną nad projektem

pomnika wieszczą. Pomnik ten, odsłonięty w 1907 r., zdobi źródło do dzisiaj na skwerze obok Nowego Domu Zdrojowego.

W 1900 r. zaszczylił Krynicy swą kilkudniową obecnością w Domu Zdrojowym J. E. hr. Leon Poniński c.k. Namiestnik dla Galicji, bawiący tu we wrześniu ze strzelcem Michałem Michnikiem w celach, jak można wnioskować, nie kuracyjnych.

Ze znanych nazwisk lwowskich znajdujących się na listach gości wymienić można jeszcze żonę znanego literata-publicysty Bronisławę Schnur Peplowską, przedstawicielki przemysłu i handlu Teklę Sprecherową i Michalinę Teliczkową, a także Marię Komuniczką, właścicielkę pensjonatu „Pod Białym Orłem”, która poza wynajmem pokoi w sezonie otwierała tu mleczarnię i kawiarnię.

Imprezą budzącą zapewne określone emocje i grozę był w 1904 r. „Wieczór wenecki”, w którym pirotechnik ze Lwowa Julian Rutkowski przedstawił

wybuch wulkanu Mont-Pelee. O tym oraz o innych aktualnych wydarzeniach w Krynicy można dowiedzieć się z części informacyjnej wydawanych od 1904 r. w postaci tygodnika „List gości”.

Z udostępnionych ksiąg gości zdrojowych wybrałem niewielki krąg osób z lwowskiej society odwiedzających Krynicy przed blisko stu laty.

65 lat istnieje okazałe sanatorium „Lwigród”, wzniesione w 1926 r. ze środków Zakładu Ubezpieczeń Społecznych we Lwowie. Po przeszło pięćdziesięciu latach służebnej roli tego obiektu od kilkunastu lat straszy on jako relikwiarz dawnej świetności, poddawany nie kończącemu się remontowi. Dekoracje „Lwigrodu” stanowiły kiedyś obrazy lwowskich malarzy Feliksa Wygrywałskiego, który do sali balowej wykonał cykl *Historia tańca*, i Kazimierza Sichulskiego który we wnętrzach umieścił artystyczną realizację *Obrony Lwowa 1918 r.*, a także dekoracyjne paneau. Co się z tym stało?

ZDZISŁAW J. ZIELIŃSKI

Lwowianin – ojcem bomby wodorowej

Na wstępie małe wyjaśnienie – chodzi oczywiście o amerykańską bombę wodorową, która choć nie została (i oby nigdy!) praktycznie zastosowana, stanowiła wielki problem tak naukowy, jak i techniczny. Nad jego rozwiązaniem pracowała rzesza ludzi reprezentująca różne dziedziny wiedzy. Istota trudności leżała w rozwiązaniach matematyczno-fizycznych. Wiele spraw dotyczących powstania bomby do dnia dzisiejszego jest ściśle tajemnicą. Tajemnicą okryte były również osoby biorące w tym udział. Jednak z biegiem czasu ujawniono więcej szczegółów.

Za ojca amerykańskiej bomby uchodzi w pewnych kołach fizyk pochodzenia węgierskiego Edward Teller. Ale z odtajnionych dokumentów programu budowy bomby termojądrowej, opracowanych przez laureata nagrody Nobla fizyka Hansa Bethiego, kierownika fizyka teoretycznej w Los Alamos National Laboratory w stanie Nowy Meksyk w USA wynika, że z trzech zasadniczych problemów, jakie były do rozwiązania – dwa rozwiązał Stanisław Marcin Ulam. Chodziło m.in. o detonację ładunku, dla którego zapalnikiem miała być bomba atomowa. Temperatura jej wybuchu była jednak za niska, aby doprowadzić do eksplozji bomby wodorowej. Wtedy Ulam na podstawie swych badań zaproponował, aby ładunek bomby wodorowej nie ogrzewać, ale sprężyć go w niewielkiej objętości. Dało się to osiągnąć przez użycie energii wybuchu atomowego, zwielokrotnionej poprzez odbicie fali uderzeniowej od ścian bomby. Teller, będąc wówczas szefem programu, zastosował praktycznie koncepcję opracowaną przez Stanisława Ulama. Ale co wiemy o tej postaci?

Stanisław Marcin Ulam urodził się 13 IV 1909 r. we Lwowie. Ojciec jego, Józef Ulam, był adwokatem, matka, Anna z d. Auerbach, pochodziła z rodziny



przemysłowców. Stryj Michał miał firmę budowlaną, która realizowała zarówno nowatorskie budowle żelazobetonowe, jak np. Małopolski Zakład Odzieży braci Zaleskich przy ul. Kazimierzowskiej, czy też pełne wdzięku, typowe secesyjne kamienice, czego przykładem może być dom dra Segala na rogu Akademickiej i Chorążczyzny. Stanisław Ulam otrzymał staranne wychowanie i wykształcenie. Jego wysoką kulturę humanistyczną zapoczątkowała edukacja w znakomitym VII Gimnazjum we Lwowie. Mając 18 lat, wstąpił na Politechnikę Lwowską, studiując dwa wydziały: ogólny i mechaniczny. Jednocześnie został przyjęty na członka Polskiego Towarzystwa Matematycznego, a w dwa lata później został jego sekretarzem. Trzeba tu podkreślić, że istnienie liczącej się w świecie Lwowskiej Szkoły Matematycznej, z takimi postaciami, jak profesorowie: Banach, Mazur, Steinhaus, Kuratowski, Auerbach, Schreier, Łomnicki, Borsuk i inni, tworzyło sprzyjający klimat dla rozwoju młodych talentów matematycznych.

Nieprzeciętne zdolności i fenomenalna pamięć Ulama pozwoliły mu na uzyskanie w tym samym 1933 r. magisterium oraz obronę pracy doktorskiej. Jego wszechstronność zainteresowań, aktywność, naturalność, skromność i osobisty wdzięk pozwoliły mu na szybkie nawiązanie kontaktów nie tylko na terenie własnej uczelni, lecz również z luminarzami nauki całego świata. Dlatego już w rok po otrzymaniu

doktoratu prowadził ćwiczenia i wykladał na uczelniach Wiednia, Zurichu, Paryża i Cambridge, a następnie w Stanach Zjednoczonych w Princeton, na uniwersytecie Harvard w Bostonie i Wisconsin w Madison. Był członkiem wielu znanych w świecie towarzystw naukowych. W 1936 r. wyjechał na stałe do USA, z tym że rokrocznie odwiedzał Polskę, nawet miesiąc przed wybuchem II wojny światowej.

Przy wyjątkowych osiągnięciach w matematyce patrzył na świat z pozycji przyrodnika, który prace „czystych” matematyków uważał jedynie za wprawki do wykorzystania w badaniu natury. Stąd zestawianie zagadnień matematycznych z problemami fizyki, astronomii, a nawet tak dalekimi wydawałoby się gałęziami wiedzy, jak biologia czy medycyna. Przykładem mogą tu być studia nad ewolucją puli genetycznej pod wpływem mutacji przy rozmnażaniu płciowym oraz zagadnienia dotyczące funkcjonowania mózgu, a więc myślenia i uczenia się.

Napisał ponad 150 prac i trzy książki (w jednej z nich świetnie opisał sam siebie). Nie omieszkął też pisać o lwowskim środowisku, z którego wyszedł. Jego artykuły o *Kawiarni Szkockiej*, o *Księdze Szkockiej*, wspomnienia o Banachu i o von Neumannie cechuje serdeczność do lwowskiego okresu jego życia.

Stanisław Ulam zmarł na atak serca 13 maja 1984 r. w Santa Fe w USA, będąc pełen energii i projektów, jakie niosła era komputeryzacji.

JÓZEF DRZAZGA

Juliusz Stefan Petry

Przed trzydziestu jeden laty, w pochmurny deszczowy dzień styczniowy, w ciszy leśnego domku w Milanówku, w zapomnieniu i ubóstwie, po długiej i ciężkiej chorobie, zmarł znany radiowiec i literat Juliusz Stefan Petry.



Juliusz S. Petry w 1950 r.

Urodził się w 1890 r. w małej miejscowości galicyjskiej Łopianka, niedaleko Bolechowa, gdzie ukończył szkołę podstawową.

W 1900 r. przeniósł się do Lwowa. Z wyróżnieniem ukończył tam gimnazjum klasyczne. W latach 1909-1914 jako stypendysta Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie studiował na Uniwersytecie Jana Kazimierza; ukończył Wydział Filozoficzny.

W latach 1914-1920 brał udział w działaniach wojennych w szeregach armii austriackiej, a następnie w Legionach Polskich. Po zakończeniu I wojny przez 10 lat był profesorem Państwowej Szkoły Technicznej we Lwowie. W tym okresie parał się również twórczością literacką. Pisał m.in. utwory sceniczne i słuchowiska historyczne. Za widowisko sceniczne *Lwie Serce*, osnute na tle historii Lwowa, otrzymał nagrodę literacką miasta Lwowa. Napisał też wiele innych utworów, jak: *Mocarze*, *Kazimierz Puławski*, *Popielidzi*, *Nowa Komedia Rybaltowska*, *Czou-Czu-Fang*. Do Związku Literatów Polskich należał od 1922 r. do ostatnich dni życia.

Od 1930 r. do wybuchu II wojny światowej pełnił funkcję kierownika literackiego, a następnie dyrektora programowego Polskiego Radia we Lwowie i Wilnie. Dzięki jego ofiarności w pracy i wielkiemu talentowi tak organizatorskiemu, jak i artystycznemu, program radiowy osiągnął bardzo wysoki poziom.

Juliusz Petry położył niemałe zasługi w rozbudowę i rozwój Rozgłośni Lwowskiej, stawiając ją w rzędzie najlepszych w kraju, m.in. poprzez pozyskanie dla twórczości radiowej wielu młodych i utalentowanych twórców.

We wrześniu 1939 r., na polecenie władz dotyczące wyjazdu za granicę, dotarł do Stanisławowa, lecz wrócił do swojej rozgłośni we Lwowie, by nadawać audycje aż do chwili jej unieruchomienia.

W czasie wojny włączył się w niebezpieczną pracę konspiracyjną w AK. Zorganizował ponad sto wieczorków literacko-muzycznych w mieszkaniach prywatnych z udziałem znakomitych muzyków i znanych sław naukowych.

W okresie okupacji pracował zawodowo w Muzeum Przemysłowym i RGO — Polskim Komitecie Opiekuńczym. Współpracując z ks. Michałem Rękasem, niósł pomoc Polakom przybywającym do Lwowa z całej Małopolski Wschodniej, a uciekającym przed pogromem UPA i SS.

Po wojnie w latach 1946-1948 organizował rozgłośnię we Wrocławiu, będąc jej pierwszym dyrektorem. Kiedy po dwóch latach powołany został na stanowisku dyrektora programowego Warszawy II, Rozgłośnia Wroclawska brzmiała już pełnym głosem.

Jeszcze raz, w 1952 r., powołany został w Warszawie do pionierskiej pracy przy organizowaniu telewizji. Po opuszczeniu Wrocławia zamieszkał w Milanówku. Tam spędził ostatnie lata swego życia pod opieką żony Celiny Nahlik-Petry (byłej spikerki lwowskiego i wrocławskiego radia), którą poślubił na początku wojny, po śmierci pierwszej żony Zofii. Domek, stanowiący własność siostry żony, wybudowany w lesie, nie miał wody, gazu i kanalizacji. Gotowano na prymusie lub kuchni węglowej.

W listopadzie 1953 r. został sparaliżowany; wytężona praca stała się przyczyną długotrwałej choroby, która przykuła go na długo do wózka.

Zmarł 12 I 1961 r. w Milanówku, gdzie został pochowany na miejscowym cmentarzu. W skromnym pogrzebie oprócz rodziny wzięło udział kilku kolegów z warszawskiego radia oraz garstka sąsiadów. W radio i prasie w kraju i za granicą żegnali zmarłego koledzy i przyjaciele. Mieszkańcy Lwowa pożegnali go udziałem w nabożeństwie żałobnym w wypełnionej po brzegi katedrze lwowskiej.

Sądzę, że warto dziś zająć się zebraniem i wydaniem jego utworów. Ocalała ich część jest zdeponowana w Bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu.



Czytelnicy pisma prosili redakcję o zamieszczenie zdjęcia twórców i realizatorów „Wesołej lwowskiej fali”. Dzięki naszemu rodakowi panu Jerzemu Losowskiemu możemy zaprezentować Państwu ten wspaniały zespół.

Siedzą na ziemi od lewej do prawej: Henryk Volgelfänger („Tońko”) i Kazimierz Wajda („Szczepko”).

Siedzą na krzesłach — I rząd: Stefania Zielińska, Ewa Stojowska, dyr. Juliusz Petry, Luba Miskiewicz

(„Love Short”), dyr. Scazighino, Celina Nahlikówna Helena Głogowska.

Stoją — I rząd: Bohdan Sadowski, Teodor Akszyński, Wiktor Budzyński, Tadeusz Serebyński, inż. Korecki, Mieczysław Monderer („Aprikosenkranz”), Alfred Kowalski i Adolf Fleischer („Untenbaum”). II rząd: Józef Wieszczyk, Czesław Halski, Stanisław Czerny („Estecz”) i Izidor Dąb.

WSPOMNIENIA

JÓZEF JUZWA

Droga wiodła przez Zaleszczyki

W tragicznym wrześniu 1939 r. fala uchodźców zdążyła na wschód wszelkimi możliwymi środkami lokomocji, często piechotą, byleby tylko uciec jak najdalej od wroga. Część tej masy ludzkiej znękaney, znużonej, głodnej szukała schronienia w południowych województwach kraju, by znaleźć się jak najbliżej granicy węgierskiej i rumuńskiej. Te zaprzyjaźnione państwa mogłyby dać w razie potrzeby schronienie. Nikt jeszcze nie przypuszczał, że może stać się to, co się stało 17 września. Cios od wschodu i nóż w plecy zadany bez wypowiedzenia wojny w perfidny sposób przez państwo, z którym byliśmy związani paktem o nieagresji, dokonał tragedii naszej państwowości.

Na samym południu kraju, nad brzegiem przebijającego się przez wyżynę podolską Dniestru leżało małe miasto powiatowe Zaleszczyki. Drugi, wysoki brzeg rzeki należał do Rumunii. Przed wojną Zaleszczyki, dzięki swoim wyjątkowym walorom klimatycznym zwane "Polskim Meranem", należały do elity ówczesnych uzdrowisk. W lecie temperatura dochodziła tam do 63°C, a ziemia rodziła południowe owoce: jak morele, brzoskwinie, winogrona, melony, kawony i inne.

Zaleszczyki w okresie przedrozbiorowym były własnością króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, stąd zwane „królewskim miastem”. W historię miasta wplątane są różne wydarzenia. W 1899 r. Jan Kasprówicz ułożył tam hymn *Święty Boże*, o czym głośno istniejąca aż do czasu wygnania Polaków w 1945 r. tablica pamiątkowa. W 1933 r. spędzał tam urlop Marszałek Józef Piłsudski.

W najbliższej okolicy Zaleszczyk znajdują się historyczne polskie miejscowości, m.in.:

Czerwonogród — jedna z najstarszych osad polskich (Castrum Rubrum), w XVIII w. siedziba starostów niegrodowych, kolejno własność rodów: Buczackich, Jazłowieckich, Ponińskich, Lubomirskich. Był to słynny zamek i wodospad.

W sąsiednim Nyrkowie mauzoleum rodziny Ponińskich ze znaną rzeźbą z białego marmuru dłuta Thordwaldsena.

Jazłowiec — w XVI w. duże miasto handlowe równe Lwowowi — dawna siedziba Ormian i biskupstwa ormiańskiego. W kościele domniemany grób Mikołaja Gomółki z XVI w. W okresie międzywojennym było tu słynne sanktuarium Maryjne, przeniesione po wojnie do Szymanowa pod Warszawą.

Nowosiółka Kostiułkowa — gniazdo rodowe Wołodyjowskich.

Beremiany — miejsce urodzenia autora *Chorału*, Kornela Ujejskiego.

Już w pierwszych dniach września Zaleszczyki, przyzwyczajone do gwaru letników, zaroily się od fali uchodźców, rosnącej z każdym dniem. Wszystkie domy prywatne, pensjonaty, ogrody



ZALESZCZYKI: PANORAMA

zapełniły się uciekinierami. 13 września przybył do miasta prymas Polski ks. kardynał Hlond i następnego dnia udał się pociągiem rumuńskim do Rzymu. Przybył z Krzemieńca korpus dyplomatyczny, czekając w tym odległym skrawku Polski na bieg wydarzeń. Dzień 17 września był dniem decydującym dla wszystkich.

Rankiem następnego dnia wjechały na most drogowy sowieckie czołgi, by zamknąć „szosę zaleszczycką”, której niesłusznie Stroński przypisał drogę ucieczki rządu Rzeczypospolitej Polskiej (rząd RP przekroczył granicę państwową w Kutach, oddalonych od Zaleszczyk o około 100 km na zachód). Znaleźliśmy się nagle pod okupacją sowiecką. Zorganizowana uprzednio przez władze polskie i ludność cywilną pomoc uchodźcom musiała być nadal kontynuowana w nowych odmiennych warunkach. Nie było to łatwe, gdyż właśnie my Polacy staliśmy się „wrogami”, „ciemnocyicielami” innych narodowości. Nastąpił czas strachu i terroru.

Już 17 września wieczorem, gdy lawina ludzka przewalała się do Rumunii, na wieść o wkroczeniu wojsk sowieckich w granice Polski została zorganizowana i zaprzyjężona grupa przerzutowa, której celem była pomoc w przedostaniu się do Rumunii i dalej do tworzącej się Armii Polskiej na zachodzie. Grupą kierowali zawodowi wojskowi oraz miejscowy ksiądz Andrzej Urbański, który w swoim mieszkaniu zapewnił lokum konspiracji.

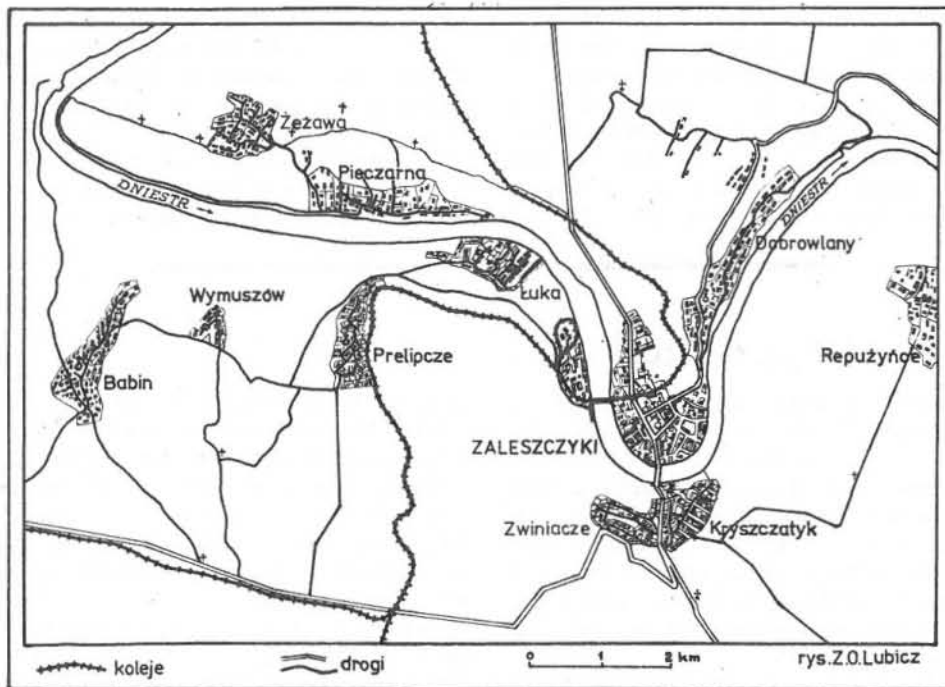
W skład grupy o kryptonimie „Kawon” wchodził zawodowy przewoźnicy na Dniestrze oraz ośmiu uczniów liceum, którzy w sierpniu tego roku ukończyli kurs III stopnia przysposobienia wojskowego w Rackim Borze na Wileńszczyźnie. Byłem jednym z nich.

Uchodźcy szukali na obcym, nieznanym terenie pomocy przede wszystkim u miejscowych Polaków. Aby trafić właściwie, pukali do drzwi polskiego księdza, które zawsze były otwarte. Tam następował odpowiedni podział i segregacja uchodźców, tam decydowano o ich dalszym losie na najbliższe dni. Była to jedyna i najpewniejsza droga, gdyż w środowisku o mieszanej narodowościowo ludności, nie zawsze sympatyzującej z Polakami, a w szczególności z polskimi przybyszami, zdarzały się nieprzewidziane przykrości. Swoje niezwykle przygody związane z przekroczeniem w tym czasie granicy na Dniestrze w Zaleszczykach opisał M. Wańkowicz w *Od Stolpców po Kair*.

Tam nad brzegiem pięknej, dostojnej, szerokiej rzeki granicznej ważyły się losy ludzi, których zły los wojny wypędził z rodzinnych stron, z własnych domów, od najbliższych. Chcieli iść na tułaczkę. Dramat każdego z nich był podobny. Byleby tylko znaleźć się na zbawionym rumuńskim brzegu.

Władze sowieckie z dnia na dzień zaostrzały straż nad granicą. Miasto odgraniczone zostało od Dniestru pojedynczym, a następnie podwójnym zasięgiem drutów kolczastych, by utrudnić w tym rejonie przekroczenie granicy. Pomimo to byli szaleńcy, którzy nawet w dzień decydowali się na ucieczkę tą drogą. Wielu z nich legło pod kulami, byli wśród nich nawet nasi szkolni koledzy. Zaistniała więc konieczność przeniesienia zorganizowanej akcji przerzutowej do sąsiedniej wsi Pieczarna, oddalonej od Zaleszczyk o 5 km. Nadzwyczaj pomocnym i ofiarnym okazał się mieszkaniec tej wsi karczmarz Żyd Schpirer. Wraz z swymi synami podjął się tej niezwykle niebezpiecznej działalności. W Pieczarnej mieszkali Ukraińcy, co stanowiło dodatkowe zagrożenie. Wielkim niebezpieczeństwem też było przejście wolnej przestrzeni między Zaleszczykami a leżącym na skraju wsi domem karczmarza.

W takich okolicznościach i takiej scenerii zjawiał się na probostwie mały warty chłopiec w wieku 15 lat, błagający o pomoc w przedostaniu się do Rumunii. Pochodził z Tarnowa. Ojciec poszedł na wojnę. Niemcy zbombardowali ich dom, więc matka postanowiła z dziećmi uciekać na wschód. Jechali wspólnie pociągiem, a gdy ten został zbombardowany, uciekali piechotą, znów pociągiem i wreszcie zgułił się. Nie znał losu matki ani rodzeństwa. Postanowił przedostać się do Rumunii, gdzie w Czerniowcach odległych od Zaleszczyk o ok. 40 km mieszkała siostra matki. Podczas ucieczki uzgodnił taką ewentualność i teraz chce połączyć się z rodziną. W Czerniowcach była wówczas duża kolonia polska, polskie szkoły, kościoły, konsulat. Zbysio — jak go później nazwałem umownie — znał adres ciotki w Czerniowcach.



Minęło kilka miesięcy długiego wyczekiwania. W tym czasie trwały w Zaleszczykach represje okupanta, aresztowania, pierwszy wywóz w głąb Związku Sowieckiego – na Sybir i do Kazachstanu, a równocześnie działała akcja przerzutowa.

Z początkiem października 1939 r. zameldował się w szpitalu zaleszczyckim absolwent Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie ppor. rez. Eugeniusz Olewicz, który w lecie tego roku odbywał praktykę w tym szpitalu razem z moim bratem Andrzejem (studentem medycyny Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie). Olewicz jako aktywny działacz studencki musiał wyjechać ze Lwowa. Gdy grunt zaczął mu się palić pod nogami i w Zaleszczykach, postanowił wybrać się do Armii Polskiej we Francji. Wówczas ksiądz Urbański zdecydował, by pod opieką dobrze znanego sobie lekarza przetrzeć do Rumunii młodego Zbysia, niecierpliwie oczekującego na połączenie się z rodziną.

Była mroźna noc styczniowa 1940 r., gdy obaj, ubrani w białe ochronne nakrycia, odprowadzani przez grupę przerzutową do cmentarza ewangelickiego za miastem, poszli polem w kierunku Pieczarnej. Po jakimś czasie w okolicy cmentarza wybuchły granaty. Rano dowiedzieliśmy się o pomyślnym przekroczeniu przez naszych podopiecznych Dniestru w okolicy cukrowni po rumuńskiej stronie. Kamień spadł z serca. W Rumunii w wąwozie kończącym wspomnianą „szosę zaleszczycką”, gdzie zbiegały się wsie Zwiniazcze – Kryschatyk, mieszkał nieopodal mostu senior tamtejszej Polonii Jan Grabowiecki, u którego znajdował się punkt kontaktowy dla uchodźców z Polski i kurierów. Tam zobowiązany był zameldować się dr Olewicz ze swoim towarzyszem. A więc koniec tej akcji, jeszcze jednej pomyślnie zakończonej akcji. Dr Olewicz do wojska, Zbysio do mamy! Potwierdzenie przyszło za kilka miesięcy. Otrzymałem przez Czerwoną Krzyż list od brata Andrzeja z Francji, w którym donosił o spotkaniu tam Genia Olewicza.

W 1944 r. wojska sowieckie ponownie zajęły Zaleszczyki i Bukowinę, tym samym obie strony Dniestru znalazły się już w Związku Radzieckim. „Rumuńscy” czy też bukowińscy Polacy mogli już swobodnie przychodzić do Zaleszczyk. Pan Grabowiecki również potwierdził historię przekroczenia granicy przez oficera i młodego chłopca.

Na pełne i jakże niespodziewane wyjaśnienie omawianego wydarzenia trzeba było czekać jeszcze wiele lat. W 1958 r. dr Olewicz, stale po wojnie mieszkający w Anglii, odwiedził w Bytomiu swego brata i spotkał się ze mną. Jakież było moje zdziwienie,

gdy zapytany o szczegóły przerzutu do Rumunii w 1940 r., zawołał: „O Boże! Na myśl o tej historii nawet dziś nie mogę się uspokoić. Było tak: Pożegnani przez naszą grupę poszliśmy słabo przetartym szlakiem śnieżnym w kierunku zbawiennej wsi Pieczarna. W połowie drogi zostaliśmy zatrzymani przez liczny patrol straży granicznej z psami. A więc koniec, pomyślałem. Widziałem kraty więzienia, łagier, Sybir, widziałem śmierć przed oczami. Nogi ugięły się przede mną, drżałem, choć starałem się zachować zimną krew. Wtedy nagle, nieoczekiwanie wyrósł przed żołnierzami mały Zbysio i szybko, płynnie po ukraińsku zaczął tłumaczyć żołnierzom cel naszej wędrowki. Otóż mieszka w tej właśnie wsi dokąd idziemy i prowadzi do bardzo chorej matki lekarza z zaleszczyckiego szpitala. Ukłękł na śniegu i z płaczem błagał, by pozwolili im odejść do jego chorej matki. W jego prośbie i błaganu żołnierze nie dopatrzili się żadnego podstępu, więc zwolnili podejrzanych i zezwolili pójść do Pieczarnej. Przypominam sobie, jak podczas legitymowania nas (miałem dokumenty ze szpitala zaleszczyckiego, będąc tam zatrudniony na stanowisku lekarza) w oddali wybuchły granaty. Wiedziałem, że to zaplanowana akcja. Żołnierze pobiegli w kierunku wybuchów, a my poszliśmy dalej”. Bardzo stromym brzegiem Dniestru zeszedliśmy szczęśliwie w dół do pierwszej chaty karczmarza. Oszołomieni zajęciem ze strażą graniczną nie zauważyli, że już na nich czas.

Karczmarz dał znak do wyjścia. Ruszyli w stronę Dniestru i brnąc w głębokim śniegu metr po metrze, krok po kroku zbliżali się do brzegu rumuńskiego. Padał świeży śnieg, zasypując ślady. Wreszcie osiągnęli drugi brzeg. Wyciągnęły się do nich przyjazne ręce. I wtedy nieoczekiwanie zdyszany, spocony Zbysio odezwał się do dra Olewicza: „Panie Geniu! A teraz uklęknijmy, bo muszę Matkę Boską i Pana przeprosić”!...

„Szumiało mi w głowie, świat wirował przed oczami po przejściach sprzed kilku godzin ze strażą graniczną, po przebyciu «drogi przez mękę» przy forsowaniu Dniestru. O co ci chodzi chłopcze – spytałem? przecież już jesteśmy w wolnym świecie i znajdziesz swoją mamę”.

„Panie Geniu! Uklęknijmy! Ja Pana i Matkę Boską oszukalem i muszę przeprosić. Nie mam 15 lat, tylko 13. Nie mam żadnej cioci w Czerniowcach. Nie pochodzę z Tarnowa, tylko z Doliny w woj. Stanisławowskim. Ja idę do Wojska Polskiego!”

Nie wiem, jakie były losy naszego „Zbysia z Tarnowa, co oszukał tyle osób, a nawet Matkę Boską”. Nie znam jego prawdziwego nazwiska. Może po ukazaniu się tego wspomnienia znajdzie się On lub ktoś z rodziny rozwiąże jeszcze jedną zagadkę.

Zbysio pochodził z okolic zamieszkałych przez ludność mieszaną, w większości ukraińską, stąd doskonała znajomość tego języka uratowała obu uciekinierów od niewątpliwego aresztowania.

Ta relacja to opowieść o jednej z licznych akcji przerzutowych dokonanych na przełomie 1939/40 r. w tym rejonie. W sumie było ich ponad 300. Z okupowanego kraju szli do Armii Polskiej dziesiątkami, setkami i pojedynczo różnymi drogami i różnymi szlakami. Przedzierali się przez Karpaty w okolicy Nadwórnej,

Rafajłowej, przez Czarnohorę i Gorgany, przez Skole, Ławoczne ... Szli starsi i młodszy. Szły polskie dzieci, podobnie jak opisany „Zbysio”. Niech ujawniają się inni mali bohaterowie, dając przykład dzisiejszym rówieśnikom, stając w szeregu obok „Lwowskich Orłąt” i „Warszawskich Dzieci”.

W lipcu ub. roku odbyło się pierwsze po 50 latach spotkanie zaleszczykowiec w Krakowie. Po raz pierwszy opowiedziałem wówczas kolegom szkolnym historię dra Olewicza i „Zbysia”.

A było to w Bieszczadach

W maju 1944 r. uciekłem ze Lwowa, mając pod swoją opieką matkę, żonę i chorą córeczkę. Zrobiłem to dlatego, że mój szef – Niemiec usiłował mnie wraz z rodziną wywieźć do Nadrenii. W sierpniu tego roku pracowałem na stacji Stary Zagórz, a mieszkałem w pobliżu. Dom, w którym mieszkałem, upodobał sobie oberleutnant, dowódca baterii. Rozkazał mi się z domu wynieść, dając odręcznie napisany świstek-zaświadczenie o przymusowym wywakuowaniu mnie i mojej rodziny. Dał mi do dyspozycji dwie jednokonne furmanki i pod konwojem wojskowym wywieziono nas na południe szosą Sanok-Łupków.

Jadąc tak drogą na południe doszedłem do wniosku, że właściwie to powinniśmy wybrać sobie jakieś lokum możliwie daleko od Sanoka, a to ze względu na zbliżający się front. Z drugiej strony trzeba było wziąć pod uwagę zachowanie się Ukraińców w stosunku do Polaków. I tak jadąc minęliśmy Kulaszne i Szczawne, aż dojechaliśmy do stacji Rzepedź. Za nią przy wiejskiej drodze zobaczyłem przed wiejską chałupą żołnierzy niemieckich siedzących przy dużym stole i coś tam majstrujących. Poprosiłem więc jednego z moich konwojentów, żeby się ich zapytał, czy oni tu mieszkają i co robią. Okazało się, że to rusznikarze. Teraz była mi ich obecność i ewentualna pomoc potrzebna, więc zdecydowałem się pozostać w tej wsi. Okazało się, że jest możliwość zakwaterowania się na końcu wsi, w gospodarstwie znajdującym się tuż przed bardzo stromym stokiem wzniesienia. Gospodarze nie wyglądali na specjalnie zmartwionych naszym przybyciem. Przyjęli nas raczej z uśmiechem. Wieś nazywała się Turzańsk i była zamieszkała całkowicie przez Ukraińców. Moja mama i żona mówiły dobrze po ukraińsku, szybko więc dogadały się z gospodarzami. Moi konwojenci podjedli sobie i odjechali. Zbliżał się wieczór, więc kobiety zajęły się przygotowaniem kolacji, a ja po drabinie wszedłem na strych, żeby zagospodarować go na nasz nocny odpoczynek. Dach chałupy był kryty słomą, a strych też był nią wypełniony. Było tam też trochę siana, z czego wynikałoby, że tu już ktoś sypiał. Rozgarnąłem trochę słomę, wyrównałem większą powierzchnię, rozłożyłem wszędzie siano i zacząłem rozścielać przyniesioną uprzednio pościel. W pewnym momencie usłyszałem kaszel, więc podsunąłem się do skraju tego siedliska i spojrzałem przez szeroką

na jakieś 30 cm szparę między poszyciem dachu a poziomem strychu. Zobaczyłem czterech mężczyzn stojących przed domem, tuż przede mną, palących papierosy i rozmawiających po ukraińsku. Wsłuchałem się w ich rozmowę, bo i tak byłem niespokojny o nasze bezpieczeństwo. I w pewnym momencie usłyszałem:

„My majemo i powynni dokazaty szcze my je warti toho szczyby buty zaczystneni do UPA. W noczi treba ich zarizaty”!

Jeden z nich zaprotestował:

„Ta może ne wsich, bo ta ich mama dobre howoryt po ukraiński”.

Drugi: „Ta żona takoz”.

„Może ony wsi Ukraińci?” – zapytał trzeci.

„Muszczyna to Lach, bo słowa ne skazał po naszemu” – wywnioskował pierwszy: „Jeho treba konieczno zarizaty”.

„A detyna?” – zapytał któryś.

„Ona chwora i wsio taki zdochne” – zawyrokował jeden z banderowców.

Zdrętwiałem. A więc w nocy, a teraz jest dopiero zmierzch, więc mam trochę czasu do namysłu. Żalowałem, że nie zabrałem z sobą ze Lwowa jakiegoś pistoletu, chociażby małego kalibru, ale po chwili doszedłem do wniosku, że może to i lepiej, że nie mam żadnej broni. W wypadku przeprowadzania obrony za pomocą broni palnej, na odgłos strzałów zleciałyby się cała wieś i wymordowałyby nas, stosując, według swoich zwyczajów, najokrutniejsze tortury.

Zszedłem cichutko po drabinie do sieni chałupy, tak żeby ci potencjalni mordercy nie słyszeli i nie domyślili się, że byłem na strychu i mogłem ich posłuchać, wszedłem do kuchni i powiedziałem możliwie cicho mojej żonie po niemiecku, że teraz wyjdę i żeby absolutnie o mnie się nie martwiła. Będąc już na dworze powiedziałem, niby tak dla grzeczności, że pójde do żołnierzy niemieckich po papierosy, a może też dostanę trochę dla nas wódki. Uśmiechnęli się do mnie lekko i drwiąco.

Początkowo wolnym krokiem a później, gdy zniknąłem im z oczu, możliwie najszybciej podążyłem do rusznikarzy. Byli to już starsi ludzie i raczej dobrodusznicy. Opowiedziałem im, jak przedstawia się cała moja historia ostatnich dni o tym, że muszę spędzić u nich noc. Zgodzili się ze mną. Teraz już wiedziałem, że mordercy

APEL

Straż Mogił Polskich
ul. Szewska 36
50-137 Wrocław
tel. 40-27-28

Szanowna Pani, Szanowny Panie!

Jesteśmy społecznym stowarzyszeniem, którego celem jest ochrona pamięci męczeństwa polskiego na Wschodzie. Nasze działania prowadzimy w myśl motto:

„... o prawo do katolickiego krzyża dla każdej polskiej mogiły niewinnie pomordowanych i zabitych na nieludzkiej ziemi od Bugu po Władystok ...”

Polskość na Wschodzie to krew, łzy, męczeństwo i poniżenie. Zbyt łatwo o tym w dzisiejszej Polsce zapominamy! Męczeństwo setek tysięcy, zapomniane, nieznanne i dewastowane mogiły naszych Sióstr i Braci czekają na dobrą rękę Rodaka, który za naszym pośrednictwem postawi krzyż, upamiętni grób, zapali znicz narodowej solidarności okaże gest człowieczeństwa, doda otuchy tam żyjącym.

Latem 1991 roku, w czasie zamachu stanu w ZSRR, Straż Mogił Polskich upamiętniła szereg miejsc zbrodni i wiecznego spoczynku Polaków na Grodzieńszczyźnie, Nowogródzczyźnie i Mińszczyźnie. Chcemy to czynić nadal ... POMÓŻCIE! Wesprijcie naszą pracę, wskażcie nie znane dotąd miejsca zbrodni na Polakach.

będą na mnie czekać, a gdy się nie doczekają, będą niespokojni, bo powiedziałem im, że idę do Niemców. Byłem pewny, że w tej sytuacji nie ruszą kobiet i będą czekać na mój powrót. Po marnie przespanej nocy poprosiłem jednego z żołnierzy, by udał się do mojej żony i powiedział jej, żeby się nie martwiła i że niedługo wróć. Dałem mu sto złotych, bo i tak te pieniądze już były trudno wymieniać, a on w swojej kantynie coś za nie kupi.

Pożegnawszy się z rusznikarzami poszedłem na szosę, spodziewając się jakiegoś pojazdu niemieckiego lub słowackiego zdążającego w kierunku Słowacji. Po mniej więcej pół godzinie ukazała się na drodze czarna limuzyna. Nie miałem wyboru i spróbowałem ją zatrzymać, podnosząc w tym celu rękę do góry. I o dziwo! Auto zatrzymało się kilka metrów za mną, więc podbiegłem i zobaczyłem na tylnym siedzeniu auta kapitana Wehrmachtu bez czapki i w rozpiętej kurtce. Poprosiłem o zabranie z sobą, bo moja córka jest bardzo chora i muszę znaleźć jakiegoś lekarza. Myślałem chwilę. Ja wykorzystałem to i wyjaśniłem mu, że jestem Polakiem ze Lwowa i że z rozkazu dowództwa niemieckiego w Sanoku (tu pokazałem mu ten świstek) znalazłem się właśnie tutaj na głuchej wsi. Wskazał mi obok siebie miejsce. Uradowałem się i wsiadłem do limuzyny. Okazało się, że kapitan jedzie przez Koszyce do Budapesztu. Opowiedziałem mu o tym, co spotkało mnie w ciągu ostatniej doby i o tym, że chcę się dostać na słowacką stronę, a mianowicie na pierwszą słowacką stację kolejową Medzilaborce, gdzie prawdopodobnie urzęduje wojskowy komendant Słowak. Spełnił moje życzenie.

Jaka była moja radość, gdy w osobie komendanta wojskowego stacji spotkałem tak dobrze znanego mi ze Starego Zagórza „porucznika”. (Jaka szkoda, że nie pamiętam jego nazwiska). Opowiedziałem mu o moim zmartwieniu. Ten w odpowiedzi zorganizował auto ciężarowe, podporucznika i sześciu żołnierzy uzbrojonych w automaty. I pojechaliśmy w kierunku Polski i Turzańska. Po drodze omówiliśmy, jak postąpimy po przybyciu na miejsce.

Gdy przyjechaliśmy na miejsce i żołnierze zeskoczyli z auta, wśród zbierających się nastąpiła konsternacja: nie wiedzieli, co to będzie. Ja przywitałem się ze swoimi niewiastami, a żołnierze wypędzili tymczasem z domu, w którym miałem zginąć z rąk oprawców, wszystkich domowników, a dodatkowo przyprowadzili mężczyzn z domów najbliższych położonych. Wśród nich byli na pewno i ci, którzy uzgodnili z moim gospodarzem moją śmierć.

Postawiliśmy ich wszystkich rzędem pod stokiem wzniesienia. Towarzyszył temu lament i płacz więźniów. Naprzeciw stanęli żołnierze z automatami skierowanymi w ich stronę. Wtedy ja powiedziałem im, że za to, iż chcieli mnie i moją rodzinę „zarizaty”, będą z wojskowego rozkazu rozstrzelani. Przerażeni padli na kolana, zaczęli się żegnać i błagać o litość. Wtedy powiedziałem im, że gdybym nie był Polakiem i nie byłaby mi obca zemsta na bezbronnych, to kazałbym ich wszystkich powiązać jak barany i pomaleńku pokroić na kawałeczki tzn. tak, jak ich rodacy postępowali z Polakami. Zwymyślałem ich przy tym od banderowskich morderców, rizinów i zapytałem ich, jak oni i ich pobratymcy mogą pogodzić modlenie się i mordowanie bliźnich, będących też katolikami?

Trzymając ich stale pod groźbą użycia broni, dwóch żołnierzy pomogło zapakować nasze rzeczy i umieścić je na aucie. Żona z moją dziewczynką wsiadły do szoferki. Tuż przed odjazdem powiedziałem im, że daruję im życie, bom Polak, i wierzę, że i oni żadnemu Polakowi nie wyrządzą żadnej krzywdy, chociażby najmniejszej. Kazałem im to zaprzysiąc na kolanach, co z zapalem uczynili. Gdy wszyscy siedzieliśmy już w aucie, bandyci jeszcze klęczeli, gdyż bali się, że nie dotrzymam słowa i w ostatniej chwili każę otworzyć do nich ogień. Auto ruszyło i z odległości kilkunastu metrów widziałem, jak uradowani powstawali z klęzek i skakali z radości, trzymając się za ręce. Po godzinie dojechaliśmy do Medzilaborca.

Ślepowron, Tarcza
(F. K.)

WSPOMNIENIA

KS. LESLAW JEŹOWSKI

Lwów — Stanisławów — Turka, czyli jak byłem lwowskim paczkarzem

Tragedię ludzi wywiezionych w 1940 r. z Małopolski Wschodniej do Kazachstanu pogłębiał fakt, że niebawem utrudniano im otrzymywanie z kraju paczek. A oni, znajdując się w ostatecznej nędzy, oczekiwali od krewnych i przyjaciół w Polsce pomocy, szczególnie żywności i odzieży.

Bezprawne i szykanujące zarządzenie poczty sowieckiej zezwoliło jedynie nielicznym urzędom znajdującym się od 1939 r. na terenie tzw. Zachodniej Ukrainy przyjmowanie większych przesyłek pocztowych do Kazachstanu. We Lwowie, Stanisławowie, Tarnopolu i w innych większych miastach, a także w wielu małych miejscowościach nie można było ich nadać. Na dobitkę żadnym publicznym ogłoszeniem nie podano wykazu urzędów pocztowych, które nie odmawiały przyjęcia paczek. Potrzebne informacje zdobywano prywatnie. Wynikało z nich, że najdogodniej ze Lwowa est jeździć z przesyłkami dla wywiezionych np. do Zdołbunowa, Korszowa i Gody-Turki koło Kołomyi.

Nieludzkie warunki podróży sowieckim taborem kolejowym wprowadzonym do dawnej lwowskiej DOKP odstraszały niejednego krewnego deportowanych od opuszczania Lwowa,

zwłaszcza jeżeli sam był starszy, bojaźliwy lub niewytrzymały. Rozglądano się więc za takimi, którzy podjęliby się zawiezienia pakietu do jednej z wymienionych miejscowości, za ludźmi silnymi i odważnymi, a przede wszystkim chętnymi. Wśród takich osób jako jedna z pierwszych znalazła się s. Klara z zakładu opiekuńczego pod wezwaniem Św. Teresy, prowadzonego przez ss. Bożej Opatrzności, tzw. Opatrznościanki, położonego przy ul. Leona Sapiehy. Nie była silna ani młoda, lecz na odwadze jej nie zbywało. I na chęci pomóżenia nieszczęśliwym rodakom. Zabierała od swoich znajomych paczki i kilkakrotnie w miesiącu zawoziła je na pocztę w Zdołbunowie.

Dowiedziawszy się ode mnie, że mam w Kazachstanie matkę, brata i ciotkę, zaproponowała mi, że zabierze do Zdołbunowa moją paczkę dla nich. Z wdzięcznością przyjąłem jej propozycję. Wręczywszy mi za kilka dni kwit mojej przesyłki, ze smutkiem oznajmiła, że prawdopodobnie będzie musiała przerwać swoją charytatywną działalność, bo jej przełożona nie wyraża na nią zgody, obawiając się, iż zbyt często się naraża, przewoząc w habicie paczki, że może zostać uwięziona, co ściąganie na cały dom zakonny przesładowania ze strony NKWD.

Siostra Klara podsunęła mi myśl, abym sam zawoził paczki do Zdołbunowa. I tak zacząłem uprawiać zawód lwowskiego paczkarza. Napisałem — zawód, bo z upływem tygodni nie tylko przewoziłem swoje paczki, ale zarabiałem zabierając też inne, zdobywając w ten sposób środki do utrzymania się przy życiu i na przygotowanie paczek dla swojej wywiezionej rodziny.

Zabierałem przesyłki do Kazachstanu od ludzi, których adresy dała mi siostra Klara. Zawoziłem je jednak nie do Zdoł-

bunowa, lecz do wsi Gody-Turki, z którą było dogodniejsze połączenie kolejowe.

Sporządzenie paczki nie przychodziło łatwo. O ile jakieś artykuły pojawiały się w sklepach, momentalnie tworzyły się długie ogonki, w których trzeba było wystawać godzinami, zanim weszło się do wnętrza. A wtedy okazywało się częstokroć, że towar został już wysprzedany. Trzeba było wędrować na inne ulice w nadziei, że natrafi się na sklep, z którego nie wykupiono jeszcze wszystkiego, i znowu ustawiać się w kolejce.

Po dokonaniu przez władze sowieckie niespodziewanego unieważnienia polskich pieniędzy brakowało na wszystko, nawet na chleb. Kto nie był aktualnie zatrudniony i nie otrzymywał wynagrodzenia w rublach, musiał się wysprzedawać, a zdobyty grosz szedł na codzienne potrzeby. Ciężko wtedy przychodziło coś zaoszczędzić, aby wystarczyło jeszcze na paczkę do Kazachstanu. Nawet zdobycie pudła na nią stawało się problemem. Sklepy ich nie posiadały, a te stare w domach zostały spalone z braku innego opału. Każda paczka nadawana na pocztę musiała być dokładnie zaszyta w mocne płótno. Skąd je wziąć? Skąd wziąć sznurek do obwiązania pakietu?

Te wszystkie trudności nie odstręczały jednak od przygotowywania przesyłek do Kazachstanu. Miałem do kogo i po co chodzić. W poniedziałki odwiedzałem mieszkania i zabierałem paczki. Nie gromadziłem ich nigdy więcej niż sześć. Każda ważyła 8 kg, bo cięższych poczta nie przyjmowała. U siebie w domu przed wyjazdem dwie paczki wkładałem do plecaka, dwie do walizki i dwie pozostałe do dużej torby. Objuczony ciężarem prawie 50 kg późnym wieczorem tego samego dnia ruszałem na dworzec główny. Wejście do wagonu nie było sprawą łatwą. Rosyjskim zwyczajem przed drzwiami każdego stał konduktor, który sprawdzał bilety i zwracał uwagę, czy pasażer posiada bagaż o dozwolonej wadze – najwyżej 20 kg. Na peronie musiałem więc szukać podróżnych bez bagażu i prosić ich, aby wnieśli do wagonu moją walizkę i torbę. Nie od razu natrafiłem na chcących mi pomóc. Wszak nie tylko ja wybierałem się w drogę z kazachstańskimi paczkami. Oprócz mnie na dworcu szukali pomocy inni lwowiacy trudniący się ich przewozem. Niekiedy udawało się mi uprosić kogoś z młodszych mieszkańców mojej kamienicy, aby z czterema moimi paczkami pojechali wraz ze mną na dworzec i podali mi je później przez okno, gdy już będę w wagonie.

Wagony były rozmaite. Czasem stare polskie 3 klasy, wysłużone i zużyte, ale częścię rosyjskie. tzw. ciepłuszki, bez przedziałów i przegródek, całe wewnątrz puste, nieoświetlone, z ławkami pod ścianami i żelaznym piecem pośrodku. Zdecydowaną większość podróżnych stanowili Sowietci, czerwoarmiejcy oraz Ukraińcy. Rozkładali się na podłodze i rozpoczynali palenie tytoniu w zwitkach z gazety bądź głośno śpiewali. W przerwach między tymi zajęciami prowadzili rozmowy niedorzeczne lub denerwujące dla polskiego ucha. Wkrótce powietrze stawało się nie do zniesienia, cuchnące i ciężkie, zwłaszcza gdy jadący pozuwali obuwie; ten i ów zasypiał, potwornie chrapiąc. Pociąg włókł się, zatrzymywał na każdej stacji, ciemnej i głuchej. Gdzieś około północy docierał do Chodorowa. Wiedziałem wtedy, że połowę drogi ze Lwowa do Stanisławowa mam już za sobą. Po dłuższym postoju ruszał dalej. Piekły oczy, bolały odgniezione kości, a spać nie mogłem. Często sprawdzałem, czy wszystkie paczki są na miejscu. Zdarzało się bowiem, że ginęły po drodze. Moim, na szczęście, nigdy się to nie przytrafiło.

Jeszcze nocą byliśmy w Stanisławowie. Znowu długie stanie na dworcu, i wreszcie rozpoczął się ostatni odcinek mojej drogi do Turki. Przyjeżdżaliśmy tam nad ranem, o ile pociąg się nie spóźnił. Zadowoleni, jeżeli podczas jazdy nie było kontroli bagażu, wysiadaliśmy ze swoimi paczkami na małej stacyjce.

Nie zawsze, ale dość często podczas podróży ze Lwowa do Turki przez wszystkie wagony przechodził kontroler w towarzystwie milicjantów i sprawdzał, czy pasażerowie nie przewożą zbyt wielkiej ilości bagażu. Wtedy padał na nas, paczkarzy, przysłowiowy błąd strach. Podrzucał paczki nieznanym, prosząc aby przy kontrolerze uznali je za swoje, ukrywaliśmy je wśród tobołków żołnierzy, wpychali pod ławki i w zakamarki wagonu.

Nie zawsze udawało się pozbyć nadmiaru bagażu. Jeżeli kontroler na niego natrafił, zachowywał się w zależności od swego humoru. Gdy miał dobry, zadowolony się wykrętnym tłumaczeniem paczkarza, gdy mniej dobry, żądał opłacenia nadwagi, gdy zły, konfiskował przesyłki, gdy całkiem zły – wysadzał z pociągu przewoźnika wraz ze wszystkim, co miał ze sobą. Opowiadano później, że ci wysadzeni bywali aresztowani, sądzeni, skazywani. Stąd ta nasza radość w Turce, gdy po drodze nie było kontroli.

Zanim opuściliśmy stację, oczami przeliczyliśmy się, ilu nas jest. Gdy przyjechało niewielu, była szansa, że wyjedziemy stąd do Lwowa pociągiem za kilka godzin. Gdy przybyło więcej paczkarzy, trzeba było czekać do wieczora; jeżeli bardzo wielu, ewentualność nocowania w Turce stawała się realna. Byli wśród nas młodzi, tacy jak ja, starsi, a nawet całkiem starzy. Wyglądający na inteligentów i na niemal niepiśmiennych, Polacy, ale i kilku Żydów. Cała grupa lwowian, zawodowych paczkarzy. Trudno było się domyśleć, dla ilu z nich, jak dla mnie, to zajęcie stanowiło jedyne źródło dochodu. Wśród obecnych na stacji nie brakowało czasem wy czynowców, którzy potrafili przywieźć i dziesięć paczek. Jak to robili, kto im pomagał, gdzie je ukrywali w pociągu – nie śmiałem pytać.

Do małego domku, w którym mieściła się poczta, szło się krótko. Gdy przyjeżdżaliśmy do Turki była jeszcze zamknięta. Można było czekać na jej otwarcie na stacji, ale każdy z nas wolał wcześniej zająć lepsze miejsce w ogonku formującym się przed pocztą. Gdy na dworze było przyjemnie, chociaż całonocne zmęczenie i napięcie nerwowe dawały się we znaki, jakoś się stało, skracając czas pogwarkami. Ale gdy prażyło słońce lub kiedy lał deszcz, dał silny wiatr, ścisnął mróz, czy też zamieć śnieżna obejmowała od stóp do głowy, wtedy trudno było wytrzymać to kilkugodzinne, bywało, czekanie.

A obsługa tureckiej poczty nie zwracała uwagi ani na zegar, ani na nas. Zdążyła już nasiąknąć socjalistycznym stylem pracy. Okienko otwierano z godzinnym, czasem i większym opóźnieniem. Na nasze wymówki i ponaglenia słyszeliśmy w odpowiedzi, że jeżeli im się na poczcie zechce, to w ogóle nie będą przyjmować paczek. Musieliśmy więc pokornieć. Zdarzało się, że podczas przewozu w pociągu, a zwłaszcza przy ukrywaniu sprane płótno na paczkach pękało, przecierały się sznurki, trzeba było na gwałt doprowadzić przesyłkę do przepisanej wygładki, a tu nie było jak i czym. Ratowaliśmy się i pomagali sobie jak kto mógł.

Wreszcie nadchodziły upragnione chwile, kiedy wszystkie moje paczki lądowały na pocztowej wadze, zostawały uznane za prawidłowo opakowane, a ja uiszczałem należność za przesyłki i otrzymywałem dowody nadania. Wychodziłem z poczty uszczęśliwiony i lekki. W przenośni – bo opadły ze mnie napięcie psychiczne, niepewność, lęk, i dosłownie – bo nie ugniatał mnie już półcietnarowy ciężar.

A teraz wracać, wracać czym prędzej do Lwowa!

Czasem udawało mi się odjechać z Turki pierwszym pociągiem i być w domu tego samego dnia w nocy. Ale najczęściej musiałem czekać do następnego, przesiąść się w Stanisławowie i po całonocnej podróży dopiero rankiem wejść do swego mieszkania. Spożywszy jakąś namiastkę śniadania, kładłem się pół przytomny do łóżka, aby wynagrodzić sobie dwie kolejne nieprzespane noce.

Następowało kilka pozbawionych nerwów, spokojnych, nawet radosnych dni. Obchodziłem mieszkania tych, którzy niedawno dali mi paczki do zawiezienia, wręczałem im kwity nadawcze, otrzymywałem podziękowanie i zapłatę za usługę. Cieszyłem się, że mogłem tym ludziom pomóc i że oni wsparli mnie materialnie. Opłata za przewóz paczki była mniej więcej stała i taką pobierał ogół przewoźników, ale zdarzało się, że ktoś, orientując się w moim położeniu, dawał więcej niż należało chłopcu, który sam, bez żadnych krewnych, musiał sobie dawać radę w obcym mieście i wspomagać rodzinę wywiezioną do Kazachstanu.

Obliczywszy swój dochód, dokonywałem zakupów do następnej paczki, którą chciałem wysłać swoim najbliższym, nabywałem najkonieczniejszą żywność dla siebie, i rezygnując z obiadów, szedłem wieczorem do ulubionej opery, aby choć na dwie godziny znaleźć się w innym świecie niż ten z ohydnej ciepłuszki.

Te bezpieczne, poniekąd pogodne dla mnie dni kończyły się w sobotę. Wtedy zaczynałem już odczuwać lęk przed zbliżającym się poniedziałkiem, gdy musiałem zbierać nowe paczki i ruszać z nimi w uciążliwą i niepewną podróż, z której nigdy nie wiedziałem, czy szczęśliwie powrócę.

Moje paczkowe eskapady trwały prawie rok — od późnej wiosny 1940 r. do drugiej dekady czerwca 1941 r. Właśnie rozpocząłem gromadzić przesyłki przed kolejną podróżą do Go-

dy-Turki, gdy 22 czerwca 1941 r. Niemcy ruszyły na ZSRR. Wnet utworzył się front wojenny uniemożliwiający praktycznie wszelką łączność między Małopolską Wschodnią a Kazachstanem. Wywiezieni tam rodacy zostali pozbawieni pomocy z kraju, a dla mnie i mnie podobnych skończyła się możliwość wykonywania emerydycznego wprawdzie, ale w zaistniałej sytuacji koniecznego zawodu paczkarza.

WŁADYSŁAW BOHR

Wspomnienia byłego studenta

Na uroczystej immatrykulacji w dniu 29 XI 1934 r. „zostałem wpisany do albumu studentów Wydziału Chemicznego Politechniki Lwowskiej”. W międzywojennej Polsce były trzy wyższe uczelnie techniczne: politechniki w Warszawie i Lwowie oraz Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie. Politechnika Lwowska cieszyła się niekwestionowaną sławą, którą kształtowali jej profesorowie, uczeni o znanych w Europie nazwiskach. Ogrodzony od ul. Leona Sapiehy parkanem z żelaznych sztachet okazały główny gmach Politechniki był jednym z ładniejszych budynków miasta.

Tak więc rozpocząłem swój studencki żywot. Rano wykłady, po południu laboratoria i ćwiczenia. Ale był też czas na rozrywkę i sport. Często chodziłem do kina, rzadziej ze względu na wysoką cenę biletu, do teatru. Na Żelazną Wodę chodziliśmy popływać, do Sokoła pojeździć konno i na szermierkę. W karnawale tańczyliśmy do upadłego w Kasynie Miejskim, w Drugim Domu Techników lub u pocztowców na Japońskiej. Ale gdy zbliżała się sesja, trzeba było przysiąść faldów. Profesorowie wymagali solidnych wiadomości i nietatwo było przebrnąć przez egzaminacyjne sito.

Nasi profesorowie to byli ludzie naprawdę dużej klasy. Ale profesor też człowiek. Mieli więc i oni swoje słabostki. Tak np. wykładający botanikę profesor Szymkiewicz, starszy siwy pan, chodził bez krawata, co w owych czasach było dość niezwykle. W ten sposób profesor dawał wyraz swoim radykalnie lewicowym poglądom. Do egzaminu należało więc przyjść bez krawata, w możliwie starym, a nawet zmietym ubraniu. Na takiego studenta profesor spoglądał przychylnym okiem.

Wręcz odwrotnie miała się sprawa egzaminu z mineralogii i profesora Mariana Kamińskiego. Sam zawsze nienagannie ubrany, wysoki postawny mężczyzna, wymagał, by student do egzaminu był ogolony i starannie uczesany, ubrany obowiązkowo w białą koszulę z odpowiednim krawatem i w ciemny garnitur. Dobre wrażenie robiła wpięta w klapę marynarki odznaka Związku Oficerów Rezerwy, bo profesor był prezesem ZOR. W pisemku Łoła Chemików „Krokodylek” ukazało się takie ogłoszenie: „Wyłożym odznakę ZOR do egzaminu u profesora Kamińskiego. 1 złote za godzinę”.

Profesor w ogóle miał sentyment do munduru. Pamiętam w 1937 r., gdy był dziekanem, przyjechałem do Lwowa wprost wojska jeszcze w mundurze. Miałem na sobie pelerynę, a przy ogatywce przypięte piórkko (cietrzewią lirę). Mój 49 Huculski Pułk strzelców stacjonował w Kołomyi, a 28 km od Kołomyi leżała niejskowość Gwoździec, gdzie mieszkała matka profesora. Ubiegam się o warunkowy wpis na następny semestr. Warunkowy, bo rakowało mi jednego „rygoru”, tzn. egzaminu z obowiązkowego przedmiotu. Zezwolenia mógł udzielić tylko dziekan. Dzięki munirowi i Kołomyi ten wpis otrzymałem. Kiedy w 1949 r. poróciłem z obozu w ZSRR do kraju, profesor bardzo wiele mi omógł.

Chemię ogólną i analityczną wykladał profesor Wiktor Jakób. Miał profesor około 50 definicji, które przy egzaminie należało nac na pamięć. Te tak zwane „jakóbki” były przyczyną mego

sukcesu. Zdawałem egzamin z dwoma kolegami, którzy przenieśli się z Politechniki Warszawskiej. Byli przygotowani nie gorzej niż ja, ale ja znałem „jakóbki”, a oni nie. Oni zdali egzamin na dostatecznie, a ja na dobrze, a może nawet na bardzo dobrze — dziś już nie pamiętam, bo muszę wyznać ze skruchą, że nie należałem do najpilniejszych studentów i rzadko otrzymywałem takie wysokie oceny.

Wielkim oryginałem był wykładający fizykę profesor Reczyński. Długie lata pobytu w Rosji (był profesorem na Politechnice w Petersburgu) pozostawiły ślad w postaci naleciałości językowych. Kiedy np. na wykładzie mówił: „gość rozżarzony do bielizny”, znaczyło to gwóźdź rozgrzany do białości, a gdy przy egzaminie student nie wykazywał dostatecznych wiadomości, profesor wręczał mu indeks ze słowami „wot indieks — wot dźwi”. Studiujący weterynarię jeden z synów profesora był wielkim ladaco i hulaką. Przed egzaminem jeden z kolegów młodego Reczyńskiego prosił go, żeby szepnął ojcu słówko, a przy egzaminie profesor spojrz na niego laskawszym okiem. Nadszedł czas egzaminu. Profesor przeczytał nazwisko studenta: „A to pan rozmawiał z moim synem” — „Tak, to właśnie ja” — z przymiłym uśmiechem przyznał student. „Nu jak pan zadajesz się z takimi ludźmi jak mój syn, to ja z panem gadać nie będę. Wot indieks — a wot dźwi”.

Nie mniejszym oryginałem był profesor Fryze wykładający elektrotechnikę. W trakcie wykładu wtrącał dygresyjne zdania w rodzaju: jak pana porzuci dziewczyna, niech się pan nie martwi. Kobieta jest jak tramwaj, jeden odszedł, drugi przyjedzie.

Na jednym z wykładów profesor Plamitzer opowiedział taką historyjkę: „Wczoraj proszę państwa miałem taką przygodę. Wstąpiłem po południu do «Szkockiej». Wypiłem swoją kawkę, przeczytałem «Ikaca» i kieruję się do wyjścia. Ale właśnie zaczął padać deszcz, więc mechanicznie sięgam po parasol na wieszaku. «Panie, panie, to mój parasol» — woła jakiś pan od stolika.

Rzeczywiście, uzmysławiam sobie, że nie miałem parasola, więc grzecznie przepraszam tego pana i wychodzę. W domu nikogo nie zastaję. Moja liczna rodzina poszła do teatru, a na dworze wciąż leje. Biorę więc trzy parasole, pelerynki i idę ich spotkać. Siadam do tramwaju, a tu siedzi pan z kawiarni. Mrugnął do mnie okiem i mówi z uśmiechem: «Miał pan dzisiaj niezły dzień».

Profesor Eberman był zapalonym spirytystą. Opowiadano, że kiedyś został zaproszony na seans do znajomych — gdzieś na górnym Łyczakowie. Profesor zaś mieszkał na końcu ulicy 29 Listopada, a więc w drugim końcu miasta. Seans zakończył się późno w nocy, a na dworze rozszalała się burza z ulewnym deszczem. Gospodarz zaproponował profesorowi nocleg. Po początkowych oporach profesor się zgodził, więc gospodarz poszedł na pięterko przygotować posłanie. Kiedy zszedł na dół, profesora nie było. Pewno się rozmyślił. Pogaszono światła, dom pograżył się w ciszy. Około godziny 3 nad ranem ktoś gwałtownie dobija się do drzwi wejściowych. Zaspiany gospodarz otwiera i zastaje przed drzwiami przemoczonego do nitki profesora. Co się stało? „Jak to co, przecież zaproponowałem mi nocleg, więc poszedłem do domu po piżamę”.

Takie to różne prawdziwe i nieprawdziwe anegdotki krążyły wśród studentów. Nie miały one nigdy złośliwego charakteru, przeciwnie — były zawsze zabarwione życzliwym, typowo lwowskim uśmiechem.

Płynęły lata. Od listopada 1938 do czerwca 1939 r. pracowałem w Katedrze Mineralogii i Petrografii na „Magdalenkach”. Tak potocznie nazywano poklasztorny budynek obok kościoła Marii Magdaleny. W katedrze panowała wspaniała, koleżeńska atmosfera, którą potrafili stworzyć wspomniani już profesor Kamiński, jego zastępca, uroczy człowiek, doktor geologii Włodzimierz Wawryk, inżynierowie Z. Tokarski, F. Engel i inni. Dr Wawryk, którego często spotykałem w latach czterdziestych, śmiało się, że dzięki wojnie zdobył drugi zawód, bo do paszportu wpisano mu zawód „wraz”, tzn. lekarz.

Ale przyszedł pamiętny wrzesień 1939 r. Zmobilizowany jeszcze na początku lipca, walczyłem na froncie południowym. Mój macierzysty 49 HPS, wchodzący w skład 11 Karpackiej Dywizji Piechoty, wraz z Armią „Małopolską” dowodzoną przez generała

Kazimierza Sosnkowskiego, cofał się na wschód w kierunku oblężonego Lwowa. W krwawych walkach przebiegał się przez niemieckie okrążenie. Odnosił lokalne sukcesy. Pod Mużyłowicami rozbił doszczętnie silny zmotoryzowany pułk SS „Germania”, zdobywając wiele sprzętu bojowego. Bronił się w Lasach Janowskich, odpierając wściekłe natarcia Niemców, walczył o przeprawę na Wereszycy. Pułk bił się dzielnie, został odznaczony Krzyżem „Virtuti Militari”, ale poniósł też ogromne, sięgające 60% stanu, straty. Ostatecznie do Lwowa przebił się w nocnym natarciu z 19/20 września, dowodzony przez majora Lityńskiego, jeden batalion liczący zaledwie 100 ludzi.

Różnie układały się później moje losy, ale Lwów pozostał na zawsze w mej pamięci jako radosne, uśmiechnięte, najmiłsze miasto.

AKTUALNOŚCI

ANDRZEJ RYBICKI

Więzienie NKWD – Lwów, ul. Zamarstynowska

W czerwcu 1991 r. idąc ulicą Zamarstynowską we Lwowie można było zauważyć wiele ludzi stojących przy metalowym płocie Internatu Szkoły Kadetów, obecnie lwowskiej milicji. Wszyscy w skupieniu i z powagą wpatrywali się w to, co działo się na dziedzińcu. Z samej ulicy można zobaczyć niewiele, ale dzięki pomocy zaprzyjaźnionego Polaka z Lwowa i paczce papierosów „Golden American” udało się sforsować warty uzbrojonych milicjantów i członków lwowskiego „Memoriału”.

Na podwórku wzrok nasz przykuły papierowe zaplombowane worki, stojące pod ścianą budynku internatu, oraz ludzie w białych fartuchach, krzątający się przy długich stołach, na których ułożone były... ludzkie szkielety. Był jeszcze dół, trochę przypominający wykop pod fundamenty domu, tyle tylko, że na jego dnie zamiast ławy fundamentowej znajdowały się... ludzkie szkielety. Jeden z młodych ludzi, zrazu niechętny, ale z czasem bardziej otwarty, zaczął nam objaśniać, jakiego to wydarzenia jesteśmy świadkami.



Listy pomordowanych
wywieszane na parkanie milicji

Właśnie tu, przy ul. Zamarstynowskiej, dokonuje się ekshumacja pozwalająca odsłonić jedną z ponurych tajemnic tragicznych ostatnich siedmiu dni czerwca 1941 r. Wtedy to od 22 do 30 czerwca NKWD wymordowało wszystkich więźniów tego budynku, będącego od września 1939 r. jednym z czterech sowieckich więzień. Podobnego mordu dokonano w pozostałych lwowskich więzieniach – w Brygidkach i w więzieniu przy ul. Łąckiego.

Kiedy 22 czerwca 1941 r. Niemcy uderzyły na ZSRR, Sowieci nie podjęli w ogóle próby ewakuacji więźniów, głównie Polaków – wojskowych, policjantów, pracowników wymiaru sprawiedliwości i wielu innych. Rosjanie uciekali w panice przed Wehrmachem, a problem więźniów postanowili rozwiązać w najprostszym sposobie – wszystkich wymordować.

Techniczny aspekt tej zbrodni, sposób jej wykonania odtworzono dzięki pracy specjalistów przy ekshumacji. Duża część odsłoniętych i wydobytych czaszek posiadała regularne otwory w kości potylicznej o średnicy 6–7 cm. Jednocześnie w kości czołowej czaszki znajdowały się otwory 10–15 cm. Oba pochodziły od kuli pistoletu nagan, stanowiącego osobiste wyposażenie oficerów NKWD. Pierwszy, ten z tyłu, to ślad po wlocie śmiertelnej kuli, drugi, ten z przodu, to wylot sowieckiego pocisku. Same czaszki nie miały z reguły innych śladów obrażeń. Śmierć zadawano więc ofiarom strzałem w tył głowy.



Prace ekshumacyjne

Niektóre szkielety były uszkodzone, pomiędzy ich kośćmi znaleziono liczne odłamki granatów. W ten sposób można było ustalić jeszcze jeden sposób mordowania. Niektórzy więźniowie, kiedy zorientowali się, co ich czeka, wyrwali się swym oprawcom i uciekli do cel. Zabijano ich, wrzucając do celi wiązki granatów.

Informacje te uzyskaliśmy od lekarza sądowego prowadzącego ekshumację oraz młodego uczestnika tych prac badawczych. Szkielety po odsłonięciu wydobywano z dołu na górę, gdzie rozłożone na stole badane były przez fachowców w białych kitlach. Po wstępnych analizach wydobyte kości pakowano do papierowych worków, które po zaplombowaniu ustawiano pod ścianą internatu. Stało tam sześćdziesiąt worków, sześćdziesiąt ludzkich tragedii. Po zakończeniu ekshumacji miały być przekazane do Zakładu Medycyny Sądowej.

Wyszliśmy stąd wstrząśnięci, przygnębieni. Nasze przygnębienie zostało spotęgowane jeszcze jedną bardzo przykrą obserwacją. Na miejscu ekshumacji jest wiele dowodów pamięci teraźniejszych mieszkańców miasta o ofiarach tej zbrodni. Kwiaty są wszędzie — w dole, na workach z kośćmi i na parkanie, gdzie wywieszane są listy zidentyfikowanych już ofiar. Są tu jeszcze inne „dowody pamięci” — flagi ukraińskie i banderowskie (czerwono-czarne), jest ich dużo. Nie ma tu jednak żadnych polskich śladów, ani jednego polskiego symbolu, tak jakby Polska została wymazana z ul. Zamarstynowskiej. Jest to tym bardziej przykre, że jak podają historycy, w lwowskich więzieniach NKWD wymordowało około



Zaplombowane worki ze szczątkami ofiar

6-7 tys. Polaków, w tym znaczną liczbę w więzieniu przy Zamarstynowskiej. Potwierdzają to znalezione guziki z orłem w koronie i wojskowe polskie buty. (Autorem fotografii jest p. Andrzej Rybicki — red.)

ZDZISŁAW J. WINNICKI

„... gdybym kiedyś o Nich zapomniał, Ty Boże na niebie zapomnij o mnie...”

Na dzień 11 listopada 1991 r. wyznaczono odsłonięcie pomnika poległych żołnierzy Wojska Polskiego w miejscowości Jańsiska pod Lwowem. Pomnik przy współudziale lwowskich Polaków zbudowany został przez lwowską bazę przedsiębiorstwa „Energopol” — instytucję, której znaczenie dla ochrony pamiętek kultury i martyrologii polskiej na Wschodzie trudno przecenić. Pomnik ten w miejscu pochówku obrońców ziemi lwowskiej poległych w bojach z Niemcami to ostatnie dzieło wspaniałych „energopolowców”. Baza lwowska zakończyła już prace. Pozostaje po nich wdzieczna pamięć Rodaków, którym pomogli w dziele ochrony najcenniejszych resztek tego, co przetrwało pożogę wojny, okupacji i celowego niszczenia w okresie późniejszym. Pomnik, o którym mowa, ma znaczenie podwójnego symbolu. Pierwszym jest oddanie czci bohaterom Wojny Obronnej 1939 r. Drugi stanowi kłamrę spinającą wysiłek pokoleń obrońców Lwowa — tych z roku 1918, i tych z 1939.

Od lat „Energopol” wraz z garstką lwowian, głównie działaczy Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, roztaczał skuteczną opiekę nad narodowym Panteonem — cmentarzem Orląt Lwowskich — bohaterskiej młodzieży miasta „zawsze wiernego”, która w pamiętnym listopadzie narodzin II Rzeczypospolitej oddała życie i obroniła swój Lwów przed zainspirowanym przez Austriaków ukraińskim zamachem stanu i zbrojnym zajęciem miasta. Wdzięczne społeczeństwo Lwowa oddało cześć i należny hołd swym najlepszym dzieciom. Z inicjatywy ks. Panasia, legendarnego kapelana II Brygady Legionów Polskich, w 1919 r. powołano do życia społeczną organizację, której celem była opieka nad cmentarzem małych żołnierzy i ich starszych kolegów. Powstała „Straż Mogił Polskich Bohaterów”. Staraniem m.in. tego stowarzyszenia dokonywano rozbudowy cmentarza-pomnika oraz organizowano opiekę nad tym miejscem.

Działania Straży ustały w 1939 r. Potem nastąpiła noc obu okupacji, aż wreszcie w wyniku ugody jańtańskiej setki tysięcy

lwowian ekspatriowano. Cmentarz Łyczakowski, cmentarz Orląt, i wiele narodowych pamiątek Ziemi Lwowskiej ulegały działaniu czasu bądź celowej dewastacji. Na części zniszczonych katakumb wybudowano zakład kamieniarski, w którym do dzisiaj obok normalnych zleceń „przerabia się” płyty z opuszczonych grobowców polskich. Część terenu jako plac przekazano nowo wybudowanemu Pałacowi Pionierów.

Zmiany w ZSRR, zapoczątkowane pierestrojką, oraz usamodzielnianie się republik stworzyły nadzieję na odrodzenie resztek polskości na dawnych Kresach. Budzi się zahibernowana jedynie w bliskim kręgu rodzinnym i przyjaciół miejscowa społeczność polska. Powstają także liczne inicjatywy krajowe. Na miejscu działają wspaniali ludzie, jak np. p. C. z małżonką, Mieczysław Głuch oraz kadra i robotnicy takich firm, jak wspomniani „Energopol” czy „Budimex”. Powstała rok temu we Wrocławiu „Straż Mogił Polskich” czerpie wzory ze swej przedwojennej poprzedniczki.

Zaproszeni do udziału w odsłonięciu pomnika w Jańsiskach, udaliśmy się czteroosobową delegacją za obecną wschodnią granicę. Wieźliśmy 2,5 m krzyż metalowy, skromne dary, lekarstwa i książki. Członek Straży, współwłaściciel firmy „Eden”, Rysiek Olejniczak zabrał słodycze dla miejscowych dzieci. Strażową nyską powoził Zbyszek Klewin. Paweł Zworski, docent Politechniki Wrocławskiej, reprezentował Straż i nowo utworzony Oddział Dolnośląski „Wspólnoty Polskiej”. Przybyliśmy o świcie 17 listopada, gdyż poprzednia data została zniemacka przesunięta. Na miejscu okazało się, że i ta data została zmieniona formalnie z powodu niewykonania na czas stosownej tablicy. Zostaliśmy więc niejako na lodzie bez kontaktów, noclegu, z ponurą perspektywą tego, co zobaczyliśmy po ukraińskiej stronie przejścia granicznego Medyka-Szeginie: sześciokilometrowej kolejki samochodów osobowych, autobusów i tirów.

Na szczęście są we Lwowie Polacy, działacze TKPZL. Do

jednego z nich, pana E. C. i jego małżonki, mieliśmy adres. Mimo iż nie zapowiedziani, w dodatku o dziwnej porze (niedziela godz. 7 rano), zostaliśmy przyjęci z najwyższą polską serdecznością i gościnnością. Państwo C., żarliwi strażnicy polskości i polskich pamiątek Ziemi Lwowskiej, przeżyli los niemal wszystkich polskich inteligentów tamtych stron, a zarazem żołnierzy Polski Podziemnej. Pan C. grodnianin i pani C. rodowita lwowianka oboje zasłużeni w konspiracji, po wojnie byli przez wiele lat więźniami szczególnie okrutnych łagrów w Workucie. Pamiątki, a raczej ich resztki, które udało się im przechować z narażeniem wolności, zachowali do dzisiaj. Część z nich – rysunki z życia obozowego, wykonane potajemnie przez panią C. zapalką i farbą z palonego chleba, zostały przez nas sfotografowane. Posłużą jako ilustracje do przygotowywanej we Wrocławiu antologii poezji łagrowej.

W południe udaliśmy się na mszę w katedrze, a po mszy na spotkanie na okołokatedralnym ryneczku. Jest bowiem od pewnego czasu lwowską tradycją, że po nabożeństwie blisko godzinę trwa polskie spotkanie. Znajomi dyskutują, działacze TKPZL uzgadniają rozmaite inicjatywy i posunięcia. Dzisiejszy Lwów zamieszkują obok Ukraińców liczne mniejszości narodowe. Wszystkie, za wyjątkiem Polaków, mają siedziby – lokale swoich organizacji. TKPZL spotyka się w salkach jednej z dwu polskich szkół w tym mieście lub w mieszkaniach prywatnych. Pod katedrą spotkaliśmy oczywiście „energopolowców”. Wzięli nas do swej bazy i zaferowali nocleg. Po wspólnej naradzie u pana C. (rano następnego dnia przekazaliśmy wyniki ustaleń konsulowi RP) ustaliliśmy, że krzyż Straży Mogił Polskich stanie w okolicach cmentarza Orłąt, dokumentując w ten sposób powrót Straży do Lwowa oraz określając charakter spornego terenu przy cmentarznego (plac Pałacu Pionierów na zniszczonych mogiłach).

Czas, konieczność uzgodnień z władzami miasta oraz pogoda spowodowały, że po wizji lokalnej przekazaliśmy krzyż w depozyt



Lew z cmentarza Orłąt Lwowskich, ustawiony na przedmieściu Lwowa przy łuku triumfalnym na cześć 17 IX 1939 r.

fol. Z. Klewin



Orzeł wydobyty spod cokołu pomnika Lenina we Lwowie

fol. Z. Klewin

pana C. oraz uzgodniliśmy z dyrekcją „Energopolu” i konsulem, iż wszyscy oni zadbają o ustawienie krzyża SMP i wykonają stosowną dokumentację. O efekt jesteśmy spokojni. Ci ludzie, o ile tylko nastąpi ugoda na wejście na pohańbiony teren, misję naszą dokończą. Tym bardziej że przygotowali już dokumentację upamiętnienia innego polskiego pobojuwiska (900 żołnierzy WP) w pobliskich Zboiskach, kontynuują restaurację niszczonej i profanowanych grobów Łyczakowa oraz odtwarzają dokumentację innych miejsc pamięci polskiej martyrologii. Boją się natomiast o dalszą przyszłość. „Energopol” odszedł. Opieka nad łyżczakowską nekropolią i cmentarzem Orłąt sprowadzi się więc do kilku łopat w rękach nielicznych szlachetnych zapaleńców. Brak elementarnych choćby środków transportu uniemożliwi proste nawet remonty. A dewastacja i profanacje trwają. Aleja zasłużonych (m.in. grobowiec Ordon) zastawiana jest stale przybywającymi i ustawianymi tak, by zasłonić polskie, monumentami grobowców działaczy ongiś radzieckich, dziś republikańskich. Do opuszczonych katakumb wprowadza się miejscowych. Pamiątkowe pomniki i grobowce są rozbijane przez nieznaną sprawców. Płyty kradzione i przerabiane, napisy ukraińskie. Kto ocali to, co pozostało z tej wspaniałej nekropolii? A może wzorem tego, co czyni dla Powązek p. Jerzy Waldorff, pod patronatem TML i przy wsparciu Ministerstwa Kultury powołać do życia Społeczny Komitet i Fundację Ratownia Łyczakowa i Pamiątek Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej? Może któraś z dolnośląskich instytucji przekaze TKPZL jakiś wysłużony „gazik”? Może kilka firm (tu apel do rad pracowniczych) kupi taki samochód wspólnie? Może znajdzie się kilku ochotników sponsorowanych przez firmy budowlane, którzy raz na kwartał pojadą tam ze sprzętem i materiałami? Tam na Wschodzie leżą zapomniane prochy naszych Sióstr i Braci. W Małachowie spomiędzy garaży, wychodków i pakamer wyzierają z ziemi (dosłownie) kości żołnierzy pamiętnego Września.

Doprawdy szkoda by było, aby poszła na marne praca takich wspaniałych opiekunów miejsc narodowej pamięci, jak pan C. czy rzeźbiarz z Makowa Podhalańskiego p. Mieczysław Głuch, który w słońcu i słocie, przypięty linami do łuku chwały Orłąt, mozolnie odtworzył napis oddający cześć bohaterskim dzieciom i młodzieży miasta, które było „semper fidelis”!

Do Wrocławia, po zajściach na granicy w Medyce-Szeginiach, wracaliśmy przez Żółkwię, Sokal, Włodzimierz Wołyński, Kowel i Brześć. Na rogatkach miasta obejrzelśmy kolejne „dzieło” – kilkunastometrowy łuk triumfalny ku chwale 17 września 1939 r. U jego podnóża stoi przeniesiony z cmentarza Orłąt symbol miasta – ponad dwumetrowy lew, któremu na piersi „wyrzeźbiono” sierp i młot...

Misja Straży Mogił Polskich trwa. Najbliższe plany to Wołkowysk, gdzie w 1943 r. Niemcy rozstrzelali i spalili blisko stu przedstawicieli inteligencji polskiej, a także nie istniejąca już polska wioska na pograniczu litewsko-białoruskim, rozstrzelana i spalona przez radzieckich partyzantów i agentów NKWD za współpracę i dawanie schronienia żołnierzom Armii Krajowej.

Na Wschodzie zostali żywi. Zostały groby. Niech dobra ręka Rodaka umożliwi pomoc żywym i utrwalenie pamięci o Tych, którzy odeszli na zawsze.

Wiceprezes Straży Mogił Polskich
Zdzisław J. Winnicki

ANDRZEJ RYBICKI

Pomnik pod Jasionowem

Wiosną 1991 r. w Jasionowie pod Brodami odsłonięto pomnik, który upamiętniał ukraińskich nacjonalistów z 14 Dywizji Waffen SS „Galizien”. Właśnie na jasionowskich wzgórzach 19-20 VI 1944 r. dywizja ta dostała się w kocioł i została rozbita w walce z Armią Czerwoną. Z około szesnastotysięcznej dywizji po walce zostało niecałe 5 tys., z czego tylko część z bronią w rękach, po wydostaniu się z kotła, przyłączyła się do UPA.

Pomysł stworzenia własnej organizacji bojowej narodził się wśród Ukraińców dużo wcześniej, jednak długo nie mógł znaleźć akceptacji pośród kierownictwa SS. Dopiero w 1943 r. zaczął on nabierać realnych kształtów. W zimie i wczesną wiosną 1944 r. prace organizacyjne ruszyły pełną parą; oddziały szkoliły się głównie w Neuhamer na Śląsku i we Francji.

Dywizja została użyta w walce po raz pierwszy we Wschodniej Galicji. Przy jej pomocy starano się zwalczać polskie podziemie, prowadziła ona również eksterminację polskiej ludności cywilnej na tych terenach. Znany jest udział ukraińskich wachmanów z SS „Galizien” w zbrodniach na ludności żydowskiej w kilku obozach zagłady. Tych parę tysięcy esesmanów, którzy wyrwali się z kotła pod Brodami i wstąpili do UPA, również zaznaczyli swą „działalność” zbrodniami.

Po pół wieku wystawiono tej dywizji pomnik. Sama idea poświęcenia go Waffen SS „Galizien” nie wzbudziła aplauzu i aprobaty pośród wielu Ukraińców. Wiele środowisk chciało, aby upamiętniał on wszystkie ofiary narodowości ukraińskiej poległe na wielu frontach II wojny światowej. Nawet były głosy za tym, aby pomnik upamiętniał wszystkich mieszkańców tych ziem poleg-



łych w ostatniej wojnie. Jednak organizacja Bractwo Studentów Ukraińskich, autorka pomysłu, postawiła na swoim. Pomnik był poświęcony „... naszej ukraińskiej dywizji...”, jak głosiła tablica na monumencie.

Tymczasem w nocy 18 VI 1991 r. około 4 nad ranem potworny wybuch zniszczył cały pomnik. Kilkumetrowy cokół z maltańskim krzyżem, z cierniową koroną i symbolem dywizji na szczycie runął w kilka sekund. Potężna siła wybuchu i układ zniszczeń pozwoliły ustalić, że nie zrobili tego amatorzy. Dobrze założony ładunek, fachowo odpalony, sprawił, że na jasionowskim wzgórzu pozostała tylko kupa gruzu, pogiętych blach i rur.

Pewnych wskazówek co do sprawców tego czynu udzielił jeden z mieszkańców wsi. Podobno widział on w pobliżu pomnika w nocy tuż przed wybuchem dwa wojskowe gaziki i ciężarówkę. (Autorem prezentowanych fotografii jest p. Andrzej Rybicki – red.)

AKTUALNOŚCI

NOWE WŁADZE TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA

W dniach 14-15 XII 1991 r. w Brzegu nad Odrą w zabytkowych salach miejskiego ratusza odbył się III Krajowy Zjazd Delegatów Towarzystwa Miłośników Lwowa, podczas którego wybrany został nowy Zarząd Główny. W skład jego weszli:

Prezes	– Danuta Nespiak, Wrocław	Komisja Rewizyjna:	
Wiceprezesa	– Andrzej Chlipalski, Kraków	Przewodniczący	– Andrzej Kaminski
	Jan Skalski, Bytom	Wiceprzewodniczący	– Stanisław Tarłowski
	Emil Teśluk, Wrocław	Sekretarz	– Józef Chimiak
Sekretarz	– Krystyna Karbowski, Wrocław	Członkowie	– Henryk Maciąg
Skarbnik	– Danuta Tabińska-Juhasz, Wrocław		Stefania Tułasiewicz-Dmochowska
Członkowie	– Zuzanna Bakulińska, Wrocław	Sąd Koleżeński:	
	Krzysztof Bulzacki, Jelenia Góra	Przewodniczący	– Jan Szajner
	Krzysztof Grata, Brzeg	Wiceprezes	– Jan Ziembicki
	Lesław Hawling, Katowice	Członkowie	– Aleksander Korman
	Jan Lewicki, Tychy		Adam Kostek
	Jerzy Michotek, Warszawa		Danuta Śliwińska
	Zdzisław Ojrzyński, Wrocław		Jerzy Żuk
	Bolesław Opalek – Rzeszów		
	Leszek Sawicki – Wrocław		

JERZY MASIOR

Nowa mogiła Henryka Zbierzchowskiego w Krynicy

Był listopadowy pogodny dzień. Na Starym Cmentarzu w Krynicy, gdzie spoczywają najbardziej zasłużeni, m.in. Nikifor Krynicki, ojciec Jana Kiepury, wybitni lekarze uzdrowiska, zebrała się spora gromada ludzi. To lwowianie tutejsi i z Nowego Sącza, kilka osób ze środowiska przemyskiego i rzeszowskiego, jest dr Danuta Nespiak – redaktor naczelny „Semper Fidelis”, są władze miasta. Powitał przybyłych prezes krynickiego TML inż. Ryszard Janowicz. Mogiła została poświęcona przez kapłana, a sylwetkę Poety przybliżył piszący te słowa, sprawca godnego pochówku.

Poeta zmarł w Krynicy 6 XI 1942 r. w swojej willi „Nemo”. Był już wtedy schorowanym, starszym człowiekiem. Pochowano go w krypcie pod cmentarną kaplicą. Żona i córka zmarły, a jedyna wnuczka Krystyna, mieszkająca w Anglii, nie wykazała zainteresowania losami pochówku dziadka.

Z biegiem lat szumnie zwana krypta zamieniła się w piwniczkę grabarza i wygląd jej w niczym nie przypominał miejsca godnego grzebania zwłok, a już na pewno nie Poety Lwowa, odznaczonego jego nagrodą literacką i wawrzynem Polskiej Akademii Literatury. Taki stan zastałem przed trzema laty, gdy rozpocząłem poszukiwania grobu Poety.

Oddziały TML sądecki i krynicki połączyły się w działaniu. Stale brakowało pieniędzy, bo całe przedsięwzięcie okazało się bardzo kosztowne: ekshumacja, nowa trumna, nowa mogiła nakryta granitową płytą, na której umieszczono popiersie Poety w brązie i stosowny napis. W skali lwowskiego powojennego rozproszenia żywych i umarłych sprawa krynickiej mogiły może i nie jest najważniejsza. Trzeba jednak z szacunkiem odnotować konkretne działania, doprowadzone do końca mimo olbrzymich trudności. Tak działają nasi krajanie w Krynicy i w Nowym Sączu. Mamy tego i inne dowody. I pamiętajcie lwowianie, zwłaszcza Wy wszyscy, którym bliska jest literatura Lwowa, którzy pamiętacie strofy najbardziej lwowskiego z lwowskich poetów, Henryka Zbierzchowskiego – będąc w Krynicy, pochylcie się na Starym Cmentarzu w pierwszej alejce na lewo nad Jego mogiłą.

Jerzy Masiór

PRZYPROWADZIŁEM CIĘ TU

Przyprowadziłem cię tu
na Piaskową
za chwilę pójdziemy dalej
ścieżką na Kajzerwald
przystanęmy
tu mieszkał Poeta
to jego dom
to ogród jego życia
astry jak u nas
wrzesień jak u nas
Na werandzie, w pokoju
pod tym drzewem
pisał wiersze
– tak myślę
tu musi się pisać wiersze
– to wiem
dlatego tu jesteśmy
przedstawmy się
tu
nie należy
ukrywać uczuć

27 X 1991

Orlątom Lwowskim

Obchody Święta Niepodległości w 1991 r., przywróconego wreszcie po tylu latach Polakom, obfitowały w liczne uroczystości. Msze święte odprawiane w intencji Ojczyzny, prelekcje, odczyty, spotkania. I trudno się nawet dziwić, że dziś zmęczeni problemami codziennego życia ludzie nie garną się już do nich tak, jak wtedy, kiedy były przez komunistyczne władze zakazane. Są nawet i tacy, którzy kwestionują sens zwracania się ku przeszłości, narodowym symbolom, upamiętniania miejsc i zdarzeń z naszej historii. Jednak na cmentarzu Św. Rodziny we Wrocławiu podczas ceremonii odsłonięcia pomnika Orłąt Lwowskich w dniu 11 listopada 1991 r. było tłumnie, podobnie jak trzy lata temu, gdy wmurowano tu kamień węgielny, poświęcono brzozy krzyż i złożono prochy

zabrzmiały słowa: „Wstańcie i dajcie świadectwo tamtych lat i wydarzeń. Wasza walka i śmierć nie była daremna, nie uległa zapomnieniu, oddaliście życie w imię życia, w imię miłości Domu Ojczystego, w imię Polski niepodległej, suwerennej i demokratycznej, wzywam Was do apelu [...]. Wzywam bohaterskie Orłata Lwowskie, dzieci prawdziwej wolności, wzywam Was do apelu [...]”. Przy akompaniamencie werbli złożono wieńce i kwiaty, a połączone chóry Politechniki Wrocławskiej i Parafii Św. Rodziny we Wrocławiu odśpiewały patriotyczne pieśni. Na koniec głos zabrali: przedstawiciel harcerzy 79 Wrocławskiej Środowiskowej Drużyny Harcerskiej „Lwów”, studentka Politechniki Wrocławskiej, ks. proboszcz Parafii Św. Rodziny Stanisław Pikul i ... zupełnie nieprzewidzianie bezpośredni uczestnik obrony Lwowa, przybyły na uroczystość z Bytomia, prawie dziewięćdziesięcioletni już dziś starszek. Nie brakło łez wzruszenia, nawet u tych, którzy Lwów znają tylko ze wspomnień i opowiadań najbliższych. Uroczystość zakończyła Msza Św. w kościele parafialnym, którą celebrował ks. Henryk Kardynał Gulbinowicz, a homilię wygłosił



poległych w obronie Lwowa dzieci. Przybyli: Metropolita Wrocławski ks. Henryk Kardynał Gulbinowicz, członkowie Komitetu Budowy Pomnika, pracownicy Politechniki Wrocławskiej, duchowieństwo, członkowie Towarzystwa Miłośników Lwowa mieszkający Wrocławia — lwowiacy, ich dzieci, wnuki.

Ceremonii nadano szczególnie uroczystą, odświętną oprawę. Po odśpiewaniu hymnu głos zabrali: w imieniu Komitetu Budowy Pomnika jego przewodniczący, rektor Politechniki Wrocławskiej, prof. Andrzej Wiszniewski (tekst jego wystąpienia zamieszczamy poniżej) oraz przewodniczący Towarzystwa Miłośników Lwowa dr Andrzej Kaminski. Swoimi refleksjami podzielił się również przybyły ze Lwowa Marian Szarybura, wiceprzewodniczący Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Pieśń *Gaude Mater Poloniae* i odczytany przez prof. Mariana Cegielskiego tekst aktu erekcyjnego, wmurowanego tu przed trzema laty, poprzedziły ceremonię odsłonięcia pomnika, którego dokonali prof. Jan Kmita, jeden z inicjatorów idei budowy Pomnika, pani Helena Witkowska, mieszkanka Bydgoszczy, uczestniczka Obrony Lwowa, która sponsorowała budowę, wpłacając co miesiąc 10 tys. zł ze swojej skromniutkiej renty, oraz dr Andrzej Kaminski, przewodniczący TML. Pomnik poświęcił ks. Henryk Kardynał Gulbinowicz.

Wojskowa oprawa uroczystości, którą zapewniła Kompania Honorowa Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych, apel poległych, salwy honorowe robiły duże wrażenie. Przejmująco

ks. Mirosław Drzewiecki. Przebrzmiały chóralne śpiewy i patriotyczne uniesienia. Pozostał pomnik, „aby — jak powiedział w swym przemówieniu dr Andrzej Kaminski — przyjąć z pomocą naszemu wspomnaniu i przekazać przyszłym pokoleniom wielkość ludzi i spraw minionych”.

„Ideę budowy pomnika — wspomina rektor Politechniki Wrocławskiej i przewodniczący Komitetu Budowy Pomnika Orłąt Lwowskich, prof. Andrzej Wiszniewski — wyartykułowano po raz pierwszy w roku 1986 (lub 1987, trudno odtworzyć dokładną datę) na spotkaniu zorganizowanym w mieszkaniu i z inicjatywą śp. prof. Zbigniewa Sicińskiego, emerytowanego profesora Politechniki Wrocławskiej, którego cała rodzina i on sam byli bardzo aktywni w działalności podziemnej. Prof. Siciński pokazał nam przywiezione ze Lwowa zdjęcia cmentarza Łyczakowskiego i Orłąt Lwowskich, będącego wtedy w stanie straszliwej dewastacji, i zadał zebranym pytanie, co wrocławska opozycja mogłaby zrobić dla uratowania cmentarza? Moim zdaniem nic nie mogliśmy wówczas zrobić, a jakiegokolwiek poważniejsze działania przez nas podejmowane mogłyby jedynie przyspieszyć jego zniszczenie. I wtedy właśnie przyszła mi do głowy szalenie cenna myśl: czy by nam się nie udało wybudować we Wrocławiu Pomnika Orłąt Lwowskich?”

Nie podjęto się jednak wówczas realizacji tej idei — podziemie

wrocławskie było rozbite, zbyt zaabsorbowane wzajemnym zwalczaniem się, aby zaangażować się w tego typu działania. Pomysł odrodził się dopiero wiosną 1988 r., kiedy w Politechnice Wrocławskiej rozpoczęto przygotowania obchodów 70 rocznicy odzyskania niepodległości. Ówczesnemu rektorowi Politechniki, prof. Janowi Kmicie ta idea bardzo się podobała. Udało się przekonać Senat Politechniki Wrocławskiej i Kolegium Rektorów (wszyscy rektorzy wyrazili zgodę, co w przypadku szkół wojskowych było miłym zaskoczeniem). Władze kościelne przyjęły pomysł entuzjastycznie.

Przeszedł on w fazę realizacji — powołanie Komitetu, rozpisanie konkursu na projekt pomnika, przyjęcie projektu artysty Jana Sieka spod Krakowa, prace konstrukcyjne, którymi kierował dr Włodzimierz Wydra z Politechniki Wrocławskiej i wiele, wiele godzin poświęconych przez zaangażowanych w tę ideę ludzi. A pomysłodawca i ojciec duchowy pomnika, dziś rektor i przewodniczący Komitetu Budowy odczuwał zapewne radość, że ta „szaleńcza myśl”, rzucona przed laty, doczekała się finału.

ANDRZEJ WISZNIEWSKI

Przemówienie z okazji odsłonięcia pomnika Orłąt Lwowskich

73 lata temu garstka lwowskich młodziaków — tych z Politechniki, ze szkoły Sienkiewicza i po prostu z lwowskiej ulicy — ta garstka lwowskich dzieci rzuciła swój los na szalę dziejów. I stał się cud: zwyciężyli. Zmienił bieg historii zaplanowanej zupełnie inaczej przez moźnych tego świata. Zwyciężyli, ale płacąc najwyższą cenę: cenę swego życia. Te kule, które ich wówczas ugodziły, zatrzymały dla nich czas. Zastygli w swoim młodzieńczym bohaterstwie, z którego pewnie nie zdawali sobie sprawy. Pozostali na zawsze dziecięcymi obrońcami Lwowa. Znieruchomieli, jak te orły na pomniku: jeszcze nie w pełni ukształtowane, zatrzymane w locie, skamieniałe w geście obrony swego gniazda, Lwowskie Orłęta.

W dziejach narodów, a szczególnie tych narodów, z którymi los obchodził się surowo, taka bohaterska śmierć nabiera niezwykłej mocy. Staje się nie tylko historią odczytywaną z kart podręczników, ale też i tą zawartą w wieczornych opowiadaniach matek. Staje się źródłem pieśni i legend, które stanowią o polskości nawet tych, którzy swej ojczyzny na oczy nie widzieli. Staje się częścią narodowej świadomości i narodowej wyobraźni.

To właśnie ta świadomość i wyobraźnia przyprowadziły nas przed trzema laty przed ten cmentarz, by na wrocławskiej ziemi złożyć urnę z prochami lwowskich dzieci. Trzy lata temu staliśmy w tym samym miejscu, święcąc brzoźowy krzyż i przysięgając postawić tu pomnik: na chwałę poległym i dla umocnienia żywych. Trzy lata — tak niewiele, a to cała epoka. Wówczas przecież tradycja 11 listopada, historia obrony Lwowa, dzieje wojny polsko-bolszewickiej należały do spraw zakazanych. Wówczas niezwykle zabrzmiały te oto słowa, wypowiedziane nad symboliczną kwaterą Orłąt Lwowskich:

„Wy, którzy pełnicie wieczną wartość przed Najwyższym Majestatem, którzy teraz już wszystko rozumiecie, weźcie w swą modlitewną opiekę sprawę wolności Polski, ale także wolności Ukrainy”.

My, ludzie XX wieku, epoki lotów kosmicznych, komputerów i telewizji, nie lubimy używać słowa CUD. Ale z całą pokorą musimy przyznać, że wówczas przed zaledwie trzema laty nikt z nas nie spodziewał się, że zanim ten pomnik stanie — Polska będzie wolnym krajem. I nie tylko my zwykli, szarzy ludzie, ale nawet wytrawni stratedzy skryci w gabinetach światowych stolic nie roili sobie wówczas, że nie tylko Polska, ale też i Ukraina stanie u granic narodowej niezawisłości. My nie musimy używać słowa CUD, ale dzieje tych minionych trzech lat winny nas uczyć pokory wobec niezbadanych wyroków Opatrzności. Winny dawać nam nadzieję, że nasi zmarli bohaterowie narodowi, obecni teraz w innym wymiarze, stoją nadal na straży dobra Polski.

Bardzo nam tej opieki potrzeba. Zyskać wolność, to jeszcze nie wszystko. Trzeba wiedzieć, co z nią uczynić. Niech więc Lwowskie Orłęta nadal mają nas w swojej opiece. Niech dbają, byśmy mądrze używali wolności i demokracji. Oni, ofiary bratobójczej walki, niech uczą nas tolerancji i wskazują drogę do świata przyjaźni między narodami. Do Europy, w której granice staną się tylko pojęciem geograficznym. A ten piękny pomnik, który dziś zostanie poświęcony, niech nam przypomina, co winniśmy naszym poległym. A to nie tylko pamięć i odświętna wiązanka kwiatów. To codzienna troska o najwyższe dobro, o dobro, za które Oni oddali życie, o dobro naszej Ojczyzny.

APEL

Okręgowa Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu — Instytutu Pamięci Narodowej w Krakowie prowadzi dochodzenia w sprawie zbrodni nacjonalistów ukraińskich popełnionych w latach 1939-1946 na obywatelach polskich, mieszkańcach m.in. następujących miejscowości na terenie byłych powiatów województwa stanisławowskiego i tarnopolskiego: Buczacz (Bobulińce, Korzowa, Markowa, Pętlikowce Stare, Przewłoka), Rohatyń (Herbutów, Szumlany), Stanisławów (Bohorodczany), Tłumacz

(Hryniowce), Zborów (Bezerowica, Gontowa, Milno, Ozierna), Żydaczów (Derżów).

Zwracamy się do mieszkańców tych wsi i świadków zdarzeń, a także do innych świadków faktów zbrodni na terenie Stanisławowskiego i Tarnopolskiego o kontakt z Okręgową Komisją w Krakowie (kod 31-027, ul. Mikołajska 4, telefon 21-11-00 lub 21-19-61).

Organizowanie się Mniejszości Narodowej Polskiej na Ukrainie

Ile Polaków mieszka obecnie na Ukrainie? Oficjalny ostatni spis ludności podaje, że 238 tysięcy. Z całą pewnością jest to liczba zanizona, gdyż nie wszyscy jeszcze mają odwagę przyznać się do polskości. Środowiska polskie na Ukrainie oceniają, że liczba ta przekracza milion osób.

25 I br. odbył się we Lwowie z udziałem delegatów organizacji polskich z całej republiki zjazd założycielski Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie. Oto fragmenty projektu Statutu Federacji:

Rozdział I. Postanowienia ogólne

§ 1. Organizacja nosi nazwę Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie (FOPnU), nazywana dalej Federacją. Ukraińska nazwa Federacji brzmi: Federacja Polskich Orhanizacij na Ukrajini.

§ 2. Federacja jest dobrowolnym, niezależnym i samorządnym związkiem polskich związków, stowarzyszeń i organizacji działających na terenie Ukrainy.

§ 3. Federacja działa na terenie całej Ukrainy. Siedzibą Federacji jest Kijów.

§ 4. Związek posiada osobowość prawną i ma prawo do:

a) używania pieczęci okrągłej, pieczęci podłużnej (stempla), sztandaru, godła i odznak zgodnie z obowiązującymi w tym zakresie przepisami,

b) ma także prawo do lokum, konta bankowego i dewizowego oraz skrytki pocztowej i blankietów firmowych,

c) emitowania programów radiowych i telewizyjnych w języku polskim, wydawania i kolportowania prasy w języku polskim,

d) zgodnie z Konstytucją Ukrainy zgłaszania kandydatów na deputowanych do władz republikańskich, obwodowych, miejskich i rejonowych,

e) prowadzenia działalności gospodarczej we wszystkich dziedzinach gospodarki, wszelkiej działalności kulturalnej, rozrywkowej, sportowej i naukowo-doświadczalnej,

f) tworzenia małych przedsiębiorstw (spółek krajowych i międzynarodowych) oraz organizacji samofinansujących się i posiadających osobowość prawną,

g) organizowania i delegowania dzieci, młodzieży i dorosłych na krajowe i zagraniczne kolonie, oazy, wycieczki, pielgrzymki, leczenie, festiwale, konkursy i imprezy kulturalne, kongresy, zjazdy i konferencje, studia i naukę w szkołach stacjonarnych oraz inne szkolenia i kursy,

h) zapraszania gości z kraju i zagranicy na imprezy zorganizowane przez Federację oraz tworzące ją organizacje.

Rozdział 2. Cele i środki działania

§ 5. Celem Federacji jest:

– odrodzenie narodowe Polaków, budzenie i pielęgnowanie świadomości narodowej, praca na rzecz rozwoju społecznego i kulturalnego ludności polskiej na terenie Ukrainy,

– reprezentowanie i obrona interesów polskiej mniejszości narodowej na Ukrainie w duchu poszanowania Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka,

– poszerzanie związków z Polską i Polonią całego świata,

– pogłębianie przyjaźni między Polakami i Ukraińcami oraz budzenie aktywności obywatelskiej wielonarodowej ludności Ukrainy w życiu społecznym i gospodarczym celem tworzenia praworządnego i demokratycznego państwa,

– tworzenie płaszczyzn współdziałania polskich związków, organizacji i towarzystw na terenie Ukrainy.

§ 6. Swoje cele Federacja realizuje poprzez:

– udział w życiu społecznym i kulturalnym Ukrainy,

– współdziałanie z organami administracji państwowej i samorządem lokalnym, organizacjami i ruchami społecznymi,

– współdziałanie z Kościołem w kształtowaniu wartości moralnych i etycznych ludności,

– zgłaszanie kandydatów do obieralnych organów władzy republikańskiej i terenowej, inicjatywy ustawodawczej, wydawania opinii dotyczących projektów ustaw,

– koordynowanie prac stowarzyszeń polskich na Ukrainie,

– organizowanie zgodnie z obowiązującym prawem akcji społecznych, wieców, konferencji, zjazdów i kongresów,

– prowadzenie działalności kulturalnej i charytatywnej, rozwój szkolnictwa polskiego oraz studiów języka ojczystego, historii i kultury polskiej,

– wydawanie i kolportaż prasy, opracowywanie i emitowanie programów radiowych i telewizyjnych, współdziałanie ze środkami masowego przekazu,

– utrzymywanie współpracy z organizacjami i instytucjami Rzeczypospolitej Polskiej,

– organizowanie i delegowanie na krajowe i zagraniczne imprezy kulturalne, turystyczne, religijne, naukowe, kształcenie i naukę oraz leczenie,

– prowadzenie działalności gospodarczej w zgodzie z obowiązującymi przepisami.

KORESPONDENCJA

Szanowna Redakcjo!

Uprzejmie prosimy o publikację na łamach Waszego pisma słów szczerego podziękowania dla dyrektora agencji Turystyczno-Usługowej „Timing” w Opolu, pana Romana Koziola, od rodziców i nauczycieli 2B klasy polskiej szkoły średniej nr 10 we Lwowie.

Dzięki staraniom pana Romana i jego kolegów uczniowie naszej klasy otrzymali piękny dar – czytanekę w ojczystym języku. W czasach, gdy coraz trudniej o polską książkę, szczególnie dla najmłodszych, autentyczne materiały dydaktyczne z języka polskiego są prawdziwym skarbem.

Ta niewielka, ale jakże cenna książeczka, pozwoli małym lwowianom polskiego pochodzenia zajrzeć w dziecienny świat swoich rówieśników w kraju, lepiej poznać obyczaje i zwyczaje rodaków żyjących na zachód od Bugu.

Jesteśmy pewni, że dzięki takim wspaniałym ludziom, jak pan Koziol i jego koledzy, tradycje polskiej kultury przyszłych pokoleń Polaków ziemi lwowskiej nie zaginą.

Łączymy wyrazy szacunku, z poważaniem –

rodzice uczniów 2B klasy polskiej szkoły nr 10 we Lwowie

m. Lwów, 15 X 1991 r.

Wycieczka do Tłumacza – ciąg dalszy

Byłam współorganizatorem wycieczki do Tłumacza na Ukrainie w sierpniu 1991 r. Burmistrz miasta zaprosił byłych jego mieszkańców zrzeszonych w Klubie „Tłumacz” przy ZG TML we Wrocławiu. W gronie uczestników wycieczki była dr Danuta Nespik – lwowianka. Oddana całym sercem sprawie, żywo interesująca się odległymi dziejami, napisała obszerny artykuł w ostatnim numerze „Semper Fidelis” pt. *Wieści z krainy między Dniestrem, Prutem a Czeremoszem*. Wzbudził on żywe dyskusje i protesty wśród uczestników wycieczki. Chcemy więc dziś polemizować, czy należało w nim uwypuklać tylko to, co nas dzieli, a pomijać najistotniejsze w dzisiejszej rzeczywistości sceny serdeczności i gościnności mieszkańców Tłumacza. Musimy docenić ich zrozumienie dla naszej wielkiej tęsknoty za miejscami, które kiedyś zamieszkiwaliśmy. Zgotowano nam powitanie z szampanem, kwiatami oraz błogosławieństwem Bożym w cerkwi greckokatolickiej. Śpiewano „mnohoje lita”, co jest odpowiednikiem „stu lat”.

Po wojnie w Tłumaczu pozostała garstka Polaków, zazwyczaj z rodzin mieszanych. Pani Gubrynowicz z siostrą, Polki, przechowywały w szopie duży obraz św. Anny ze zburzonego kościoła. W czasach ucisku religijnego modlono się ukradkiem wspólnie z Ukraińcami wyznania greckokatolickiego, chrzczono przed nim dzieci. Teraz staruszka, jak się okazało ciocia uczestnika wycieczki Bolka Petrusa z Chojnowa, ofiarowała ten obraz za naszym pośrednictwem do polskiego kościoła na Górcie w Stanisławowie. Przekazaliśmy tam również figurki świętych z szopki z kościoła tłumackiego, które 45 lat przeleżały na strychu w domu rodziny Kłonowskich. Przyniosła je nam młodzież nie umiejąca już mówić po polsku, gdyż rodzice wcześniej poumierali. Dostałam wiadomość wraz z podziękowaniami z Towarzystwa Kultury Polskiej w Stanisławowie, że nasze figurki będą zdobić nowo otwarty kościół w Rohatynie.

Do zarządu Klubu „Tłumacz” we Wrocławiu napływają listy od uczestników wycieczki, obrazujące ich uczucia, przeżycia w zetknięciu się po wielu latach z rodzinnymi stronami. Wyjątki listu p. Romy Króliczek, z domu Lityńskiej zamieszkałej na Śląsku: „Pierwsze moje słowa to słowa niewypowiedzianej wdzięczności dla wspaniałych organizatorów. Słowa szczerze, graniczące z uwielbieniem za to, że mogłam oczami dorosłej osoby ujrzeć raz jeszcze ziemię rodzinną. W najśmielszych marzeniach nie przypuszczałam, że będę mogła tu wrócić jako turystka. Niezbadane są wyroki boskie – wróciłam do najwcześniejszych lat dziecinnych, tragicznych lat wojennych, skąpanych w morzu niewinnie przelanej krwi. Trzeba wybaczyć – to jedna z najważniejszych zasad chrześcijańskich. Zapomnieć nie można tego, co utrwaliło się w oczach przerażonego dziecka jak na kliszy fotograficznej. Drobnymi siąpajacy deszcz, koła zwykłych chłopskich wozów tonących miejscami w błocie, a na wozach zwykle, nie pomalowane trumny, a w nich okrutnie zamęczeni, pomordowani Polacy. Wozy z trumnami jadą i jadą, wydaje się bez końca. Wokół głośnie zawodzenia i płacz – to pogrzeb Polaków z Nadorożnej.

Mińło pół wieku. Z przerażonej, ogarniętej panicznym strachem dziewczynki wyrosła kobieta dręczona okrutną tęsknotą za urządzeniem ojczystej ziemi pachnącej chlebem, lipowym miodem, rzek czystych, pełnych ryb. Prawdziwego wstrząsu doznałam po przybyciu do Tłumacza nazajutrz, kiedy zśliśmy całą grupą do cerkwi, bo kościół w Tłumaczu już nie istnieje. U bram cerkwi zgromadziła się okoliczna ludność ze świętymi ikonami, sztandarami, młodzież z kwiatami. Myślałam, że to jakaś procesja, ale okazało się, że to na nasze powitanie. Były łzy, łzy radości, uściski i pocałunki, wręczanie kwiatów i wśród bicia dzwonów zostaliśmy przez mieszkańców Tłumacza wprowadzeni do cerkwi, gdzie uczestniczyliśmy w dwugodzinnej Mszy św. To, co czułam i co

przeżyłam, trudno opisać. Wstyd mi się przyznać jako katoliczce i chrześcijance, ale w długim swoim życiu nie modliłam się tak gorąco i szczerze, nie czułam tak blisko obecności Pana Boga, jak tam w tej cerkwi w Tłumaczu. Warto było jechać choćby tylko po to, żeby tam przeżyć ten cudowny stan duszy. Wielkie też wrażenie zrobił na mnie cmentarz w Tłumaczu, gdzie wspaniałe grobowce, zmurszałe ze starości, porośnięte morzem zieleni kryją prochy naszych bliskich i świadczą o polskości tych ziem. Na temat samego Tłumacza, jego mieszkańców, miłych, serdecznych, gościnnych można by jeszcze dużo pisać...”

A teraz wspomnienia z listu tłumaczanki Kazimierzy Żygłowicz z Nysy: „[...] znałam to tylko z opowiadań rodziców, bo «dzieckiem w kolebce» wyrwał mnie los stamtąd. Z niedowierzaniem nieraz słuchałam, może z półśmiechem na ustach, wsłuchiwałam się w te opowieści o gruszkach, których nigdzie więcej, o lasach, które tylko tam, o zapachu łąk niepowtarzalnym o... o wszystkim, co nigdy tu, tylko tam... Pamiętasz? – słyszałam ciągle – a u nas przed wojną... Jako dorosła, która już wiele wyczytała z kart naszej literatury właśnie o tych terenach, zastanawiałam się często, że musi w tym coś być. Albo wszyscy stamtąd to romantycy od urodzenia, albo jest jednak w tych stronach coś urokliwego, albo jedno i drugie...? A teraz wiem, że tam to wszystko istniało naprawdę i jest w rzeczywistości, pomimo upływu czasu.

Że będę w okolicach gdzie żyli moi przodkowie, wiedziałam, jechałam przecież z Klubem «Tłumacz», a w metryce mam napisane powiat Tłumacz. Ale nie przeczuwałam, że po niepowtarzalnych przeżyciach w cerkwi tłumackiej dojdzie mi w tym dniu jeszcze jedno – wyjazd do Otyni, gdzie stanęłam pod «organistówką», która dała schronienie przy końcu wojny moim bardzo młodym rodzicom i maleństwu, którym byłam ja. Z Otyni prowadzi droga. Widzę drogę z opowieści rodziców. Ma być górką, a potem w dół. Jest tak samo! Duszne popołudnie, a mnie przechodzi zimny dreszcz, to na tej górcie cudem ocaliliśmy. Kiedy wydawało się, że dzień spokojny, cicho, bezpiecznie można się ewakuować z miejsca, gdzie coraz częściej z lasów wychodzi śmierć, stało się inaczej. Na samym szczycie tej górci zastała nas strzelanina z obu stron drogi. Kule leciały ponad koszykiem wciśniętym między tobołki, a w tym koszyczku byłam ja.

To było! A teraz widzę olbrzymi, piękny krajobraz – widok niepowtarzalny. To jest piękniejsze niż w opowieściach. Zazielenione zbocze stromo opada w dół. Pachnie zieleń nagrzana słońcem. Przede mną Hołosków. Wjeżdżamy w dolinę. Jest stacja! Jest rzeka! Jest Młynówka! Po prostu jest! Kościółek Karpińskiego, szkoła, to było. Zatrzymujemy się przy domu, który był Domem Ludowym i nadal nim jest. Chcemy znaleźć ślad, zaczepiamy starszą kobietę, mówi po polsku. Trzęsącym się głosem pytam o nazwiska dziadków, rodziców. Znała ich, pamięta, jest też wzruszona. Mówi, że dzięki nim, dzięki mojej rodzinie łatwiej im było przeżyć, przycgarnęli ich. To byli bardzo dobrzy ludzie – mówi. Jestem dumna”.

Pani Kazimiera opisuje swoje spotkanie z wsią Chaszcz, gdzie mieszkali dziadkowie ze strony mamy, i wsią Gaj, gdzie żyła rodzina ojca. Stare Ukrainki pamiętały i odnajdywały podobieństwo jej oczu do babci Rozalii. Zabudowań już nie ma. Pozostała piwnica, która według opowiadań rodzinnych niejednemu uratowała życie – oni to też wiedzą. Pozostała jeszcze studnia, „z której wodę chciałoby się pić przez całe życie – tę najlepszą sprzed wojny”.

Te dwa cytowane listy najlepiej obrazują mieszane uczucia uczestników wycieczki: tęsknota, ciekawość, wspomnienia strasznych dni wojny, zachwyt pięknem i malowniczością tych ziem,

ale też życzliwość i serdeczność dla obecnych jej mieszkańców.

Klub tłumaczan działa już trzydzieści lat. W całej Polsce, a i poza jej granicami liczy ponad 200 członków. Każdy chce skorzystać z następnego, obiecanego zaproszenia mera miasta, który dodatkowo udostępnia bezpłatne noclegi w internacie szkoły. Jemu właśnie należą się najwyższe słowa uznania, że umiał tym gestem gościnności dać dowód swojej dojrzałości politycznej. Dziękuję mu i chwala!

Obecni mieszkańcy Tłumacza prześcigali się w zapraszaniu nas, swoich byłych sąsiadów, dawnych znajomych, a nawet krewnych, lub całkiem obcych do swoich mieszkań na tzw. „horilku”. Oni rozumieli nasze wzruszenie, naszą chęć zobaczenia po latach pozostawionych domostw, ogrodów, szkół, ulic – naszej ojcowizny. Myślę, że wspólne ukochanie tych ziem, gdzie ojcowie nasi kiedyś razem zamieszkiwali, gdzie tworzyła się wspólna nasza historia – może nas teraz łączyć, a nie dzielić. Wydaje się, że w Tłumaczu ci prości, serdeczni ludzie właśnie to rozumieli.

W ciężkich dla nas czasach wychodzenia z głębokiej ekonomicznej zapaści postkomunistycznej powinniśmy się wspierać na polu

gospodarczym i kulturalnym. Przecież ta szeroka Ukraina może być wspaniałym rynkiem zbytu, który pomoże nam dźwignąć się z recesji gospodarczej, a im pomóc w niedostatkach.

W czasach, gdy ujawniło się dużo naszych rodaków, gdzie prawie w każdym większym miasteczku dawnych Kresów powstaje Towarzystwo Kultury Polskiej garnące się do nas, nie można, p. Danuto Nespiak, patrzeć na dzisiejszą Ukrainę pod kątem krwawych wspomnień sprzed 50 lat, a upiorne sceny z łam naszego pisma na pewno nie pomogą pozostałej tam Polskiej Mniejszości Narodowej.

My, nareszcie wolne narody, chcemy współpracować, odwiedzać się i przyjaźnić. Proponuję pozostawić opisy i dokumentację mordów Polaków na wschodzie w czasach ostatniej wojny Fundacji Św. Andrzeja Boboli, a my według słów p. Romy ze Śląska „powinniśmy po chrześcijańsku wybaczyć”.

Proszę o polemikę.

Wiceprezes Klubu „Tłumacz”

Danuta Tabińska-Juhasz

Więści z krainy między Dniestrem, Prutem a Czeremoszem – też ciąg dalszy

Pani Danuta Tabińska-Juhasz napisała prawdę. I ja też w reportażu pod powyższym tytułem napisałam prawdę. A prawda musi być jedna, gdyż dwie prawdy na ten sam temat są fałszem. Więc skąd polemika między nami, osobami blisko ze sobą współpracującymi i darzącymi się nawzajem sympatią?

Ale po kolei. Jestem lwowianką. Tyśmienicę, Otynię, Kłubowce, Tłumacz (nie licząc raz krótkiego nocnego przejazdu) widziałam właściwie po raz pierwszy i napisałam o tym, o czym dowiedziałam się tam na miejscu. Nie trafiłabym na piękny cmentarz w Tłumaczu i nie mogłabym szukać tam mogiły zamordowanych Polaków z Nadorożnej, gdyby mi o tym właśnie w Tłumaczu i właśnie na cmentarzu nie powiedziano. Dlaczego w swoim reportażu miałam to ukryć?

Ja też byłam w cerkwi na nabożeństwie, modliłam się i jak napisałam „cała powikłana historia tej ziemi przycichła, oddaliła się”. Tylko jeżeli trzeba po chrześcijańsku wybaczyć – jak tego życzy sobie moja polemistka, to sądzę, że modląc się razem w cerkwi w Tłumaczu czy gdzie indziej należy w tej modlitwie za dusze siczowych strzelców modlić się również za ich ofiary – pomordowanych Polaków z Nadorożnej, którzy nawet nie mają swego grobu. Mogłam również – proponowano mi to – pojechać do Budzyna, też złowrogo zapisanego w pamięci niektórych tłumaczan. Nie pojechałam, albowiem nie było moim zamiarem przeprowadzenie tragicznej inwentaryzacji miejsc, gdzie ginęli Polacy. A zresztą czy tylko Polacy? A Żydzi? Ormianie?

Odwiedziłam ten kawałek ziemi stanisławowskiej, bo szukałam tam tego niepowtarzalnego krajobrazu, gdzie obok Polaka mieszkał Ukrainiec, Żyd, Ormianin. Szukałam śladu tego świata, który bezpowrotnie przeminął. Myślę tu przede wszystkim o Żydach. O tych tłumackich też powinnam była napisać, i o księdzu Tabaczkowskim, który dostarczał tłumackim Żydom metryki katolickie i zginął zamęczony przez gestapo w stanisławowskim więzieniu.

W Tłumaczu byłam kilkakrotnie w gościnnym domu Ukrainki Nadi. I napisałam, że jej matka dzieliła się mąką i kartoflami z potrzebującymi, nie pytając jakiej są narodowości.

Nie napisałam o figurkach z szopki nieistniejącego już kościoła tłumackiego, a przecież ja też te figurki wynosiłam z domu rodziny Kłonowskich.

Reasumując – ta polemika między mną a p. Danutą Tabińską-Juhasz nie dotyczy prawdy o pobycie w Tłumaczu, bo ona jest

jedna – a mianowicie, że bardzo gościnnie przyjęli dzisiejsi tłumaczanie dawnych tłumaczan i że losy Polaków w ziemi tłumackiej bywały tragiczne. Polemika ta ma dotyczyć tego, jak sformułowała to p. Tabińska-Juhasz, czy należało w tym artykule uwypuklić tylko to, co nas dzieli, a pomijając najistotniejsze w dzisiejszej rzeczywistości sceny serdeczności i gościnności.

Po pierwsze, nie pominęłam serdeczności i gościnności (*vide mer i Nadia*).

Po drugie, abstrahując od Tłumacza i sprowadzając rzecz do spraw generalnych, w dzisiejszej rzeczywistości polsko-ukraińskiej najistotniejsze nie są sceny serdeczności i gościnności, bo one mogą być tylko „scenami” rozgrywanymi ze względów dyplomatycznych. Żadne milczenie wokół spraw tragicznie wpisanych w polskie losy na Kresach Wschodnich nie zbuduje trwałego porozumienia między nami. Trzeba tę tragiczną przeszłość sprawiedliwie osądzić, przyznać się do zbrodni ludobójstwa i wyrzec się go na zawsze w Europie.

Po trzecie, Polskiej Mniejszości Narodowej na Ukrainie pomóc czy zaszkodzić może nie czasopismo „Semper Fidelis”, ale linia polityki wschodniej polskiego rządu. My pragniemy tylko, żeby prawa Polaków na Ukrainie były tak przestrzegane, jak prawa Ukraińców w Polsce. Nie są to chyba żądania wygórowane ani niebezpieczne, nie mówiąc o tym, że są zgodne z wymogami, jakie Rada Europy stawia państwom niepodległym.

Pisze Pani, że „My, wolne narody, chcemy współpracować, odwiedzać się i przyjaźnić”. Ja też podpisuję się pod tymi słowami. Ale przyjaźni nie uda się zbudować, przemilczając niewygodne i tragiczne prawdy. Współpracę ekonomiczną być może, ale przecież nie tylko o to nam chodzi.

Byłam z Klubem „Tłumacz” w Waszym mieście, napisałam ten reportaż, opierając się na faktach, z którymi zaznajomiłam się na miejscu. Nie umiem uprawiać koniunkturalnego milczenia, bo ono niczemu nie służy i niczego nie wyjaśnia. Ale uważam, że p. Danuta Tabińska-Juhasz ma pełne prawo do własnego, innego niż mój poglądu w tych sprawach, członkowie Klubu „Tłumacz” też. Jestem daleka od tego, by im narzucać własny punkt widzenia. Przedstawiłam tylko moje racje, a przy okazji chcę podkreślić, że Klub „Tłumacz” jest bardzo dobrze zorganizowany.

Czytelników też proszę o polemikę.

Danuta Nespiak

MARIA SAWICKA

Na Panoramie Raławickiej

Józku: Serwus Mańku! Jak widzy, ty przychulał na te naszym Panuramy.

Mańku: Serwus! A bilety masz?

Józku: Ta pewni, ży mam, ali takuj musimy troszku puczeć na swoji kulejki, chodźmy trochi dalij popud te drzewa, spukojnu pubalakać. Upowim ci zatymczasym u Panurami, chtóru ja z innymi udbudował.

Mańku: Ta jak ty z innymi? Ty jezdyś malarz, czy co?

Józku: A tym mi si zara czypiasz, jagby Panuramy tylku malarzy zrubili! A budynek, a schody, kurytarzy i ogóli cała budowla? Ty sy myślisz, ży to płótnu, co waży trzy i pół tony, samu by w powietrzu wisiału?

Mańku: Tu jak ty ni malował, tu co ty robił?

Józku: Ta jak co?! Byzemni ta Panurama by tu ni stała. Ja pumagał w transporci jak ją, bidastwu wuzili tam i nazad pu całyj Polscy. To długa historia.

Mańku: Nu tu jak długa, to im prendzy mi ją upowisz tym lepi.

Józku: Najsampirw powidz, czy wisz kiedy si bili pud Raławicami?

Mańku: Dawnu...

Józku: A uo, dawnu! Ali ty mondry! A jak ci powim, ży prawi dwieści lat temu, w 1794 roku, tu dasz wiary?

Mańku: Ni moży być! A te panuramy ubrazowy kiedy namalowali?

Józku: Sto lat późnij. I pukazali ją pirszy raz na Wystawi Krajowyj w naszym Lwowi.

Mańku: To nas Józku jeszcze na świeci ni byłu?

Józku: Nu pewni, ali to ni ważny. Ni byłu nas i ni bedzi, a Panurama bedzi, bu to wielga pamnionka narudowa. Ni ma takij drugij!

Mańku: Szkoda, ży nas ni byłu jak ją pirszy raz pukazywali, to musiału być dupiru świentu.

Józku: I tu jeszcze jaki! Sam cysarz przyjechał z Wiednia! Przystaw sy, ży wtedy wy Lwowi puszczone pirszy eliktryczny tranwaj, a cały Park Stryjski i teryn Wystawy uświetlili żarówkami! Nu, a potym ludzi chudzili i chudzili na te Panuramy i zawsze pełnu byłu.

Mańku: A ty spamnientał moży ili kusztował stemp?

Józku: Pieńć szóstyk dla dorosłych, dwie szóstki dla dzieci, a wycieczki szkolny knajły zabezdurnu, bu tu si rozchudziłu o wychuwani patriotyczny.

Mańku: Józku, a co si stału u Panuramu w czasi wojny?

Józku: Ta co mi si pytasz jak jaki durnuwaty! Wielkanocy ni pamnientasz w 1944 roku, kiedy bomby Muskali spadły w nocy na Lwów?!

Mańku: Aha, aha, ta pewni! Śpiwału si nawyt takuo piosenki;

„Leci Iwan nad chmurami — świci sobi latarniami...”

Józku: Jo, jo! I wtedy te bomby — żeby zawrócili tam skond przylecieli! — uszkudzili budynek Panuramy i kawałki ubrazu.

Mańku: Matku Boska, co za strata! A to zbóji, antychrysty! Czy chto to zara naprawił?

Józku: Dzie tam! Wojna jeszcze była, a po tym nas zy Lwowa wykobzali i trza byłu Panuramy ratować, żeby si Muskalom ni dustała!

Mańku: Nu tu raz! Raz! Zapakować i już!

Józku: Ty sy pewni myślisz, ży to tak zapakować jak chusteczki du nosa, abu ubrani du walizki. Ta to wielgi płótnu ni dało si nawyt w jednym kawałku. puskładać!

Mańku: Oj, bida, bida!

Józku: Ta pewni, ży bida. Trza byłu pociuć to płótnu, punawiając na taki wielgi walcy jak armaty i dupieru po tym z nawierzchu zapakować. O!

Mańku: O janastonic!

Józku: Nu i tak pu długich kuruwodach dujichała ona najsampirw du Wrocławia.

Mańku: Tu fajnu! Tu fajnu! Tu pewni zanidługu ją ruzwineli, naszpanuwali i pustawili du uglundania!

Józku: Trzymajci mni, bu ja zwariuji! Ta jak pustawili, ta dzie pustawili, taku pucientu, moży pud gołym niebym? Ty chiba swój rozum zjad! Ja tegu dłużyj ni strzymam!

Mańku: Nu dobrzy, już dobrzy. Pewni ją rychtyg naprawili i pu kłupoci.

Józku: Akurat rychtyg — pu dwudziestu latach dupiru ją udwineli i zaczełi naprawiwać. Była już fest nadpsuta.

Mańku: Jak kiełbasa.

Józku: Mańku, jak ty jeszcze raz cuś takiego durnegu powisz, tu ja sobi pójdzy het! Ty mi ni przyrywaj wciongli. Nu wienc, jak ją już ruzwineli trza byłu wieli spycjalistów aby najsampirw ratować, dzie byli dziury i zamalowywać ud nowa. A zatymczasym budowali wy Wrocławiu nowy rotundy.

Mańku: Co Józku?

Józku: Nu, taki ukrongły chałupy dla te Panuramy.

Mańku: Aha, widzy, widzy — to właśni ta przyd nami. Wyglonda jak duży garnyk abu makutra. Mnie si ni spudobi.

Józku: Na cały szczęści to ni wielgi zmartwieni. I wisz braci, jak już wszystku prawi byłu gutowy, tu si z Panuramu zaczęła cała sałamacha.

Mańku: Ta o cu, powidz!

Józku: Nagli Kraków sy przypomniał, ży Raclawicy są ni daleku nich i ży Panurama puwinna stać w Krakowi. Zrobił si z tegu wielgi harmidyr a najwiency krzyczeli chłopcy z Raclawic.

Mańku: A niech by si wypchali!

Józku: Zara po nich raban pudniosła Warszawa! Żeby u nich, ży stolica, ży maju wiency piniendzy i tak dalij. Ni i zapakuwali ci te zmurduwany Panuramy i dawaj z nią du Warszawy.

Mańku: Józku, czuji, ży mnie szlag trafi. A żeby ich pukarału! Oni ją pu prostu zasmytrali! Nu, a co z to rutundu wy Wrocławiu?

Józku: A, byli taki urzændniki syromudry, co wymyślili żeby z nij zrobić cyrk abu upyretki.

Mańku: Ni moży być? Aby ich pukrenciłu! Ali takuj Panurama jest wy Wrocławiu.

Józku: Bu prawi wojna o te Panuramy wybuchnęła! Ruzpisali si różny gazety, jeżdżyły kumisji, charchali si ukropni. Jednagży Wrocław twardu ubstawał przy swoim. Zawionzał si spycjalny kumityt, wszyscy staneli jak jedyn mur i wygrali my te nowszy bitwy pud Raclawicami. Panurama wróciła du Wrocławia, a wieźli ją Solidarnuść i wojsku polski!

Mańku: Nu chwala Bogu, i co dalij Józku?

Józku: Skończyli budować te rutundy i wtedy spycjalna ekipa ze mnu przywiozła te Panuramy na jej mniejszy. Beze mni — nic! Cały transpurt by si nu udał, na tym tu ja si znam. Nareszci w 1985 roku, pu czterdziestu latach, Panuramy na nowu utwurzyli.

Mańku: Ach, to cudowni! A uo, kikuj Józku, wyszła znowu jakaś grupa, pewni tera my!

Józku: Klawu, idziemy.

Mańku: Józku, ty mnie trzymaj za renkaw, bo mnie zatknętu z miejsca jagim tu wszed. Ja takuj wieli już zapomniat. Taż to jak żywy, jak żywy!

Józku: Takich my mieli malarzy: Kossak i Styka, to najgłówniejszy, spamnientaj sobi!

Mańku: Możysz mi przypomnić w skróci o cu tu si mniej wincy ruzchodzi, bu mnie ten głośnik zawadza, wolim jak ty do mni bałakasz.

Józku: Tu ja ci upowim, bu jezdy tu ni pirszy raz. W 1794 roku Kościuszku robi puwstani, zbira wojsku i jedzi na Raclawicy bić si z Muskalami.

Mańku: A skond on miał tyli wojska!?

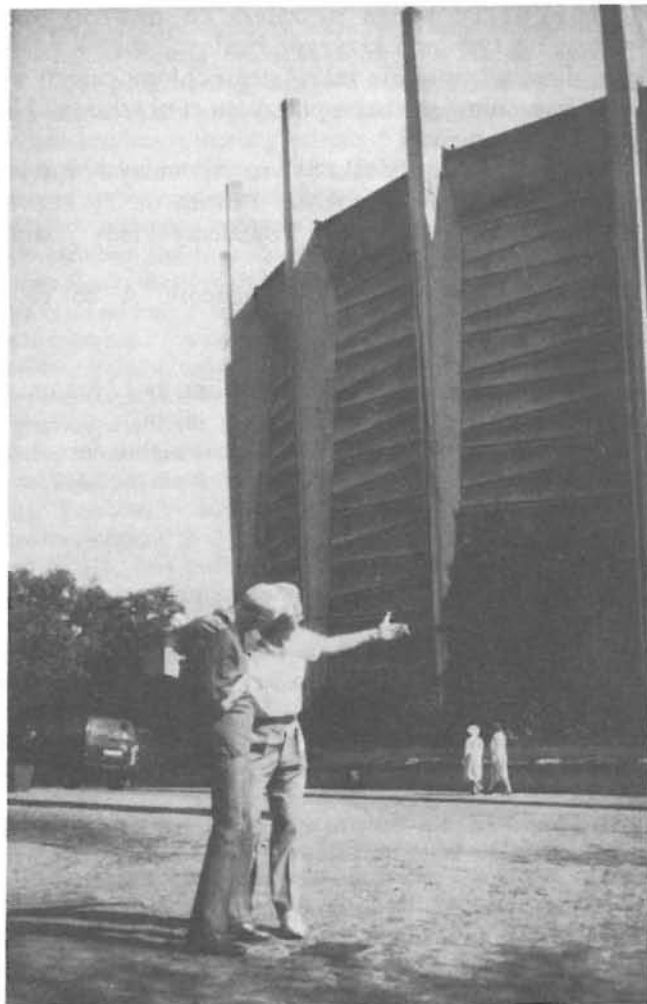
Józku: Samy uchutniki si du niegu przyłonczyli, różny churongwi, kawaleria, kanoniery, pichota i aż dwa tysiency ukrutni zażartych chłopów z kosami.

Mańku: To nasz główny generał był Kościuszko, a ich chtóryn?

Józku: Nazywał si Tormasow, ja ci potym pukazy jak gu pruwadzu du niwoli. To była braci fest bitwa, ostra haratanina, a trwała tylku ud trzeci du ósmy gudziny i szlus. Wojsku ruski zastału duszczentni pubity!

Mańku: Co tu si dzieji! Jagby ja słyszał, ży tu ludzi krzyczu i armaty graju. Sam by ja leciał bić si, abu co?!

Józku: A ty widzisz Kościuszki na koniu, co z tu



szablu leci? I szpanuj, żeby gu chłopcy wiency kuchali, tu na genyralski mundur ubrał jeszczy chłopsku kapoty?

Mańku: A tu widzisz jak kosyniery lecu na ruski armaty!

Józku: A tu Bartusz Głowacki czapku zatyka taki wielgi kolubryny! Widzisz?

Mańku: Ta pewni, ży widzisz. To ja nawyt spamnientał ży Lwowa. Dawnij to inny wojny byli. Tera to ty by czapku ni zatknął żadnyj armaty.

Józku: Ali dawnij jaki zapał był du bitki. Masz ty pujeńci jak tymi kosami cieli? Ciach, mach i trup!

Mańku: A uo, szpanuj Józku jak tu si biju z Muskalami na bagnety — o, już po nich!

Józku: To regimynt Wodzickiegu, a tu trochi dalij, napiraju uddziały pichoty kuronnyj, a tu regimenty Ożarowskiegu, Czapskiegu, Potockiegu i innych!

Mańku: Skond ty wszystku tak dobrzy znasz Józku?

Józku: Z ksionżyk o tyj bitwi. Szpanuj tera tu, co si dzieji! Takij bitwy z koniami to ty jeszczy nie obglondał!

Mańku: Już ruzpuznaji jazdy polsku i rosyjsku. Bidny koni.

Józku: Widzisz, ży ty zapomniat, ży to obraz a nie tak naprawdy.

Mańku: Mnie si zdaji jagby ja słyszał ich żalósny rzeni. A ili tu rannych i kunajoncyh! Mnie serycy boli.

Józku: Ty wroga ni żałuj! Za ojczyzny trza walczyć! A tych pod krzyżym, biednych matyk z małymi dziećmi, tu ci nie żal? A tego chłopca całego wy krwi, ży za nim jegu baba płaczy, tu ci ni szkoda? Nie bundź taki mientki.

Mańku: Zawždy taki byłym. Ali widzy ży my już ubeszli Panuramy duubkoła. Powim ci, ży raz to ubglondnuńć, to za mału. Pójdziemy kiedy jeszcy raz?

Józku: Ta pewni, ży pójdziemy. A co ci si najwiency pudubału z ubrazu?

Mańku: Niebu.

Józku: Jak tu niebu?! Ty myślisz, ży ty już umar z tamtymi na polu i ży ty już w niebi?

Mańku: Ni Józku. Tylku to niebu jest taki

najprawdziwszy zy wszystkiego co tu namaluwany. Onu jagby uddycha i ma taku glembokuść, glembokuść...

Józku: A ou masz, ali pueta si znalaz. Niebu jak niebu, ja woli bitwy. Nu, fertig na dzisiaj. Ali pienkna ta nasza lwowska panurama, ni?

Mańku: Jo, jo, prawda! Dzieńkuj ci bardzu. Cześć Józku! Du zubaczenia!

Józku: Serwus!

Na tym kończymy drukowanie rozmów Mańka i Józka oraz informujemy, że te i dziesięć następnych dialogów ukażą się w najbliższym czasie w książce *Wrocławska Wesola Fala, czyli Mańku i Józku*. Równocześnie sprzedawane będą taśmy magnetofonowe z tymi dialogami, wykonanymi w autentycznym bałaku.

Działalność Klubu „Strzechy Stryjskiej” przy TML we Wrocławiu

Pierwotnym załączkiem powstania „Strzechy Stryjskiej” we Wrocławiu było spotkanie w Karpaczu w 1989 r. Odbyło się wtedy jubileuszowe zebranie maturzystów z 1939 r., których zaplanowany jubileusz dziesięciolećni — siłą wypadków dziejowych zamienił się w półwieczny.

Ta grupa zupełnie obcych sobie ludzi stała się zaczynem powstania dużego klubu, jednoczącego ludzi sobie bliskich i życiowych.

W 1990 r. odbyła się ogólnokrajowa pielgrzymka stryjan do Gliwic, dokąd deportowano Matkę Boską Kochawińską, która cieszyła się wielkim kultem wyznawców rzymskokatolickiego obrządku. Tu także znalazła „przysłulek” ormiańska Matka Boska Łysiecka.

Stryjanie postanowili się w jakiś sposób zalegalizować. Korzystając z uprzejmości ks. Kanonika Stefana Helowicza, złączyliśmy się z Kołem Stanisławowa, które nam udostępniło lokal przy ul. Katedralnej 12.

6 XI 1990 r. odbyło się pierwsze zebranie „Strzechy Stryjskiej” i przystąpienie do Towarzystwa Miłośników Lwowa we Wrocławiu. Dzięki uprzejmości TML i poparciu dr Jadwigi Browińskiej korzystamy z sali w kamieniczce „Małgosia” w Rynku. Zebrania nasze odbywają się w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca o godz. 16.

Działalność nasza jako klubu jest specyficzna, gdyż swoim zasięgiem obejmujemy przede wszystkim członków mieszkających poza Wrocławiem. Spowodowaliśmy powstanie w ramach TML „Strzech Stryjskich” w Warszawie, Krakowie i Gliwicach.

W ciągu naszej rocznej działalności urządziliśmy:

- Oplatek wraz z Kołem Stanisławowa.
- Koleżeńskie spotkanie w Szklarskiej Porębie, zorganizowane przez mgra Władysława Jakimowa.
- Ogólnopolskie spotkanie pielgrzymkowe w Gliwicach u stóp Matki Boskiej Kochawińskiej i Łysieckiej w dniu 8 IX 1991 r.
- Braliśmy czynny udział w 2 wystawach we Wrocławiu: w Arsenale i na Politechnice.
- Ogłosiliśmy 6 artykułów w poczytnych pismach.
- Wybiliśmy dwie odznaki z herbem Stryja.
- Przekazaliśmy dwa artykuły z działalności Ormian do Muzeum w Zabrze.
- Rejestrujemy groby stryjan na terenie Polski, na Monte Casino we Włoszech, na Syjonie, w Jerozolimie, w Szkocji.
- W Dzień Zaduszny zapaliliśmy znicze na grobach stryjan we Wrocławiu.
- W miarę możliwości służymy sobie pomocą i opiekujemy się 3 osobami.
- Prelekcje na naszych zebraniach wygłosili: dr Zdzisław Ojrzyński — na temat obrona Lwowa w 1920 r. — z wyświetleniem

przeźroczy; prof. Henryk Hordt — o prehistorii Stryja, z wyświetleniem przeźroczy; dr Danuta Nespiać — o wrażeniach z pobytu w Stryju; mgr Danuta Tabińska-Juhasz — o wrażeniach z pobytu na Kresach.

- Nawiązaliśmy bezpośredni kontakt z Towarzystwem Kultury Polskiej w Stryju. Prowadzimy ożywioną korespondencję i wysyłamy paczki.
- Dwunastoosobowa grupa stryjan udała się autokarem do Stryja 12 X 1991 r. (osobna relacja).
- Na naszych zebraniach gościliśmy: stryjan z Zabrze, Opola, Gliwic, Poznania, a nawet dwie osoby z Kijowa.
- Utrzymujemy kontakt z Kołem Stryjan w Londynie, uważając go za prekursora „Strzechy Stryjskiej” we Wrocławiu.
- Za najważniejsze swoje osiągnięcie uważamy wydawanie biuletynów „Strzechy Stryjskiej”, których nakład na życzenie czytelników musimy znacznie powiększyć.

Głównym naszym celem jest zbieranie dokumentacji jako materiału do biuletynów oraz uaktywnienie członków „Strzechy Stryjskiej” do spisywania swoich wspomnień.

Krystyna Roszek-Masiak
prezes „Strzechy Stryjskiej”
we Wrocławiu

APEL

Jednym z głównych zamiarów „Strzechy Stryjskiej” jest kwartalne wydawanie biuletynów o tematyce związanej ze Stryjem. Chodzi nam o to, ażeby w przyszłości nie wykoślawiano historii naszych czasów. Dlatego opracowane tematy chcemy przekazywać jak największej liczbie Stryjan, ażeby po przeczytaniu wnosili swoje uwagi, dorzucali osobiste refleksje, a może i inne cenne uzupełniające wiadomości.

Obecnie w wolnej Ojczyźnie mamy mnóstwo braków ekonomicznych, ekologicznych, politycznych etc., ale rozwiązały się nam usta i możemy ujawnić wszystko, co tyle lat przechowywało serce. A zatem przerwijmy okowy milczenia, pozwólmy mówić, musimy mówić dla dobra tych, którzy przyjdą po nas, gdy nas już nie będzie.

Bardzo prosimy o przysyłanie materiałów i swych uwag pod adresem:

Towarzystwo Miłośników Lwowa lub
Rynek Ratusz 7/9
50-106 Wrocław
dla „Strzechy Stryjskiej”

Krystyna Roszek-Masiak
Michałowskiego 17
51-637 Wrocław

RECENZJE

KRZYSZTOF BULZACKI

Droga Krzyżowa Archidiecezji Lwowskiej*

Droga do prawdy jest długa i trudna. Taka też była droga książki relacjonującej dzieje zbrodni ludobójstwa ukraińskiego dokonanego na polskim narodzie w czasie drugiej wojny światowej. Autor śp. ks. biskup Wincenty Urban, sufragan wrocławski, podpisał w przedmowie książkę do druku we Wrocławiu 1 listopada 1971 roku, a więc minęło 20 lat. Druk nosi datę 1983 r. i wreszcie nieliczne egzemplarze docierają do czytelników [...].

Droga Krzyżowa Archidiecezji Lwowskiej w latach II wojny światowej 1939-1945 napisana jest w sposób maksymalnie powściągliwy, „oparta na autentycznych dokumentach, oświadczeniach, relacjach świadków, jakie udało się zebrać autorowi i ocalić od zapomnienia” (na odwrocie karty tytułowej). Autor podkreśla z naciskiem, że obraz nakreślonych tu stosunków jest niepełny i niewyczerpujący, zaledwie fragmentaryczny, a wiadomości były zdobywane w trudnych warunkach wojennych i zapewne uzupełniane w niełatwych czasach, gdy w PRL świeciło stalinowskie słońce. Dziś – pisał autor w 1971 r. – już nikt nie zdoła nakreślić pełnego obrazu tych lat dokonanych zbrodni. „Wiele materiałów zniszczono. Wielu świadków zginęło. Zatarły się w pamięci tragiczne wydarzenia” (s. 139). Zachowały się jedynie zebrane dokumenty w teczkach śp. ks. abpa Eugeniusza Baziaka.

Książka napisana jest bez komentarzy, zawiera krótkie opisy faktów, nazwy miejscowości, nazwiska, liczby, daty. Nakreślona jest organizacja archidiecezji. Do metropolii lwowskiej należały jako sufraganie diecezje w Przemyślu i Łucku, 28 dekanatów, 416 parafii, z których wymieniono w tekście 398. Na tym tle omówione są wydarzenia wyłącznie udokumentowane, liczba Polaków zamordowanych przez Ukraińców określona jest na 200 tysięcy, z zaznaczeniem, że nie jest to liczba pełna.

Jeden z rozdziałów poświęcony jest księżom, którzy ocalili z pogromu. Wymienione są tu liczne prace naukowe napisane po wojnie, które niestety w większości nie doczekały się druku.

Jak przystało na sługę Bożego, autor poddaje się założeniom, że: „winnym należy przebaczyć, ale nie można zapomnieć o doznanych krzywdach, niekiedy wołających o pomstę do nieba” (s. 3). Zbrodnie dokonywane przez Ukraińców, opisane w książce, są obrazem potwornego zezwierzenia band chłopskich, złożonych nie tylko z mężczyzn i kobiet ale również młodzieży, a nawet dzieci. Udowodniona jest również wina, a nawet bezpośredni udział w zbrodniach ukraińskich księży. Nieliczne odwety polskie przyczyniły się do tego, że niewiele było miejsc, w których Polacy czuli się bezpiecznie. Premedytacja zbrodni, wyrafinowanie tortur, okrucieństwo mordów, najwyższy stopień barbarzyństwa – to wszystko przeraża czytelników. „Ukraińcy mordowali ludność polską z premedytacją” (s. 4). Od Wołynia poprzez Małopolskę Wschodnią siali śmierć, mszcząc rzekome krzywdy uczynione Ukraińcom przez Polaków, dlatego oni „musieli wyciąć naród polski”, a mordując Polaków – mówił ksiądz ukraiński – „nie popełniają grzechu ciężkiego” (s. 31). „Palono i wysadzano kościoły dynamitem” (s. 32). „Przy podpalonych domostwach leżały trupy zalane krwią, niektóre miały rozdarte brzuchy, inne były bez głów, rąk, nóg” (s. 32). „Żywe niemowlę wrzucono do studni” (s. 34). „Wielka nienawiść była w duszy ukraińskiej” (s. 35). „Zdzierano żyłtkami skórę z twarzy, palono żywcem, wbijano kołki dębowe między żebra, rżnięto piłą” (s. 32). Szczególnie nieludzkie tortury wymyślano polskim księżom, z których po torturach czyniono żywe tarce dla nieletnich dziewcząt. Mordom towarzyszył rabunek.

Autor nie zapomniał oddać sprawiedliwości tym Ukraińcom, w których w obliczu zbrodni obudziło się człowieczeństwo i z narażeniem własnego życia stanęli w obronie Polaków. Opisuje tragiczne losy małżeństw mieszanych (s. 31). Pisząc o Polakach, zawężył ich do wyznania rzymskokatolickiego, zaledwie nadmienia o istnieniu Polaków obrządku ormiańskiego, zapomina o Polakach innych wyznań, których czyny zapisały się złotymi zgłoskami w naszej historii. W książce opisana jest również pomoc niesiona Polakom przez wojska węgierskie poprzez dostarczanie im broni dla obrony przed napadami [...].

* Fragmenty recenzji zamieszczonej w „Karkonoszach” 12/91.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Doc dr Jan Wąsowicz

3 I 1903-10 IX 1991

Zmarł w Warszawie stary i bardzo zasłużony lwowiak, docent dr Jan Wąsowicz, harcmistrz, były komendant Lwowskiej Chorągwi Harcerzy, członek Stołecznego Oddziału TML.

Urodził się 3 I 1903 r. w Piotrowie nad Dniestrem. Ojciec Aleksander, szlachcic zagrodowy, miał tam małe gospodarstwo rolne i pracownię stolarską. Matka, z Jasińskich, była córką powstańca z 1863 r. Osierocony przez ojca w wieku 5 lat, szkołę powszechną kończy w Rudzie, pow. Rohatyń (mieszka u wuja Czechryńskiego, właściciela majątku ziemskiego, działacza towarzystw polskich Sokół, TSL i innych). Bierze czynny udział w wojnie ukraińskiej 1917-1918 i w wojnie bolszewickiej 1920 r. Studiuje na Uniwersytecie Jana Kazimierza, Wydział Matematyczno-Przyrodniczy kończy ze stopniem magistra w 1929 r. Czynnikiem działa w Bratniej Pomocy, w Czytelni i Chórze Akademickim.

Od 1914 r. związany z harcerstwem. W 1919 r. zostaje zastępowym, po demobilizacji w 1920/21 – drużynowym. We Lwowie prowadzi referaty w Komendzie Chorągwi, wreszcie w latach 1927-1931 zostaje komendantem tej największej w Polsce chorągwi harcerzy. Równocześnie po studiach uniwersyteckich pracuje jako nauczyciel we Lwowie. Pełni obowiązki inspektora oświatowego i przysposobienia rolniczego w Małopolskim Towarzystwie Rolniczym. Organizuje Koła Młodzieży Polskiej na Kresach. Poświęca się bez reszty pracy zawodowej i społecznej.

W drugiej wojnie światowej bierze udział z bronią w rękę,

potem rzuca się w wir tajnego nauczania. Zagrożony aresztowaniem przez hitlerowców, przeniesie się wraz z rodziną w okolice Tarnobrzegu. Po wojnie organizuje i prowadzi prace naukowe związane z pszczelarstwem i jedwabnictwem. Uzyskuje stopień docenta i kieruje Zakładem Owadów Użytkowych na Akademii Rolniczej (SGGW) w Warszawie.

Był zawsze i wszędzie człowiekiem niezwykle pracowitym, prawym, prostolinijnym. Należał do Towarzystwa Miłośników Lwowa, brał czynny udział w jego zebraniach. Do ostatnich lat brał udział w harcerskich rekolleksjach w Laskach.

Dawno temu, w 1932 r., składałem na Twoje ręce, Druhu Komendancie, przyrzeczenie harcerskie we Lwowie, na Persenkówce, pod pomnikiem Jerzego Grodyńskiego i Obrońców Lwowa. Takie samo, jakie i Ty składałeś 18 lat wcześniej: „Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym prawu harcerskiemu”. Przez całe swoje długie 88-letnie życie pełniłeś wiernie służbę Bogu, Polsce i bliźnim. I dlatego „Bóg znalazł Cię godnym siebie” i wezwał po nagrodę, jeszcze jedną, tym razem wieczną. Spocząłeś w ziemi warszawskiej, gdzieś tyle lat przeżył i przepracował, ale chcę zakończyć słowami znanej piosenki żołnierskiej: „Śpij kolego, a w tym grobie niech się Polska przyśni Tobie”, niech się Tobie przyśni Lwów...

ks. Janusz Popławski

POZNAJMY SIĘ

Żołnierz trzech żywiołów

Szczęśliwy los sprawił, że pewnego jesiennego dnia 1938 r. zaprowadzono mnie do szkoły Św. Marii Magdaleny. Nasza męska szkoła była nowa i „biała”, bo otynkowana na biało. Przytykała do niej część starsza, „czerwona”, bo licowana czerwoną cegłą. Tam chodziły dziewczęta.

Kiedy nadszedł zły czas, dziewczęta i chłopców – tych młodszych wprost ze szkolnej ławy, i tych starszych, którzy z niej odeszli wcześniej – niepomyślny wiatr historii rozwał po całym świecie. Wojnę przeżyli w mniej lub bardziej dramatycznych kolejach losów, albo jej nie przeżyli. Zawędrowali do miejsc, o których ich na lekcjach geografii nigdy nie uczono. Minęło wiele lat. Dorośli i postarzelisi się.



Pomyślałem sobie, że czas najwyższy, byśmy się odszukali i opowiedzieli o sobie. Ogłosiłem więc na łamach nieocenionego „Przekroju” (z 17 IX 1989), który dociera do najdalszych zakątków kuli ziemskiej, apel do byłych uczennic i uczniów naszych obu szkół. I stało się. Napłynął strumień listów z czterech stron świata i z wielu epok. Od pani Janiny Peltzowej, która zaczęła naukę w 1904 r., i od tych najmłodszych – pięćdziesięciolatek, z Ostrołęki i z Nowego Jorku.

Właśnie ten list z Nowego Jorku chcę Czytelnikom „Semper Fidelis” zaprezentować. Niezwykle przeżycia pana Zbigniewa M. Groszka zasługują na upowszechnienie, może nawet na sensacyjny film? Oto niektóre fragmenty jego długiego listu z 20 XI 1989 r.

„Przeczytałem w «Przekroju» nr 2308 [...] Pańską notatkę nawołującą do «ujawnienia się» absolwentów szkoły powszechnej Św. Marii Magdaleny we Lwowie. Otóż stawiam się na apel.

Niestety, szczegóły z tego okresu mego życia są bardzo nikłe w mojej pamięci i przyćmione wielkimi wydarzeniami i przeżyciami ostatnich 60 lat. Pamiętam natomiast, że wspomnienia tego okresu przywołują uczucia wielkiej euforii. Lubiełem szkołę i wszystko to, co dookoła mnie się działo [...].

Mieszkał przy ul. Dunin-Borkowskich [...] do szkoły jeździłem tramwajem nr 4. To już była frajda [...]. Szkoła mieściła się na ul. Potockiego, a po drugiej stronie górował kościół Św. Marii Magdaleny. Często z Rodzicami i krewnymi w niedziele chodziliśmy tam na msze [...] ku niechęci księży naszego lokalnego kościoła Jezuitów na Dunin-Borkowskich (naprzeciw kamienicy p. Michała Kustanowicza, w której mieszkaliśmy na drugim piętrze pod nrem 10a) [...].

Dwa tylko nazwiska w tej chwili pamiętam z całego grona kolegów: Klimek (Tadzio?) – ojciec jego miał na ul. Potockiego sklepik [...], drugi to Filipowicz (może Filipowski?) [...]. Ojciec jego [...] wygrał duże pieniądze na jakiejś loterii (tak mówiono), kupił ładny domek na peryferiach [...]. Bardzo tkwi mi w pamięci sylwetka nauczycielki mojej i gospodyni klasy Pani Świtniewskiej [...], byłem Jej pupilkiem i wiedziałem o tym. Ona widziała we mnie coś, czego może wówczas moi Rodzice jeszcze nie dostrzegali. Dzisiaj w perspektywie przeszłości wdzięczny Jej jestem za pomoc w kształtowaniu mojego charakteru i wiem głęboko w sercu swoim, że Jej nie zawiodłem”.

Zbigniew Groszek uczęszczał następnie do X Gimnazjum, potem do XI przy ul. Szymonowiczów, maturę zdał w 1935 r. Przez dwa lata studiował architekturę na Politechnice Lwowskiej, a w 1937 r. rozpoczął służbę wojskową we Włodzimierzu Wołyńskim (ciężka artyleria), a następnie postarzał się o przeniesienie do rezerwy lotniczej w Dęblinie, później w Radomiu. Szkołę skończył z pierwszą lokatą. Na architekturę już nie wrócił. Nadszedł rok 1939.

„Lekko ranny [...] pod Lublinem we wrześniu 1939 uciekłem bolszewikom z Podwołoczysk. Wróciłem do Lwowa, wykurowałem się i podczas nieudanej wyprawy na Węgry w grudniu 1939 r. aresztowany przez władze sowieckie, skazany na 10 lat ciężkich robót na północy: Workuta. Oswobodzony dzięki amnestii przez umowę Sikorskiego i Majskiego, poprzez Persję, Egipt, dostałem się do Południowej Afryki. Niestety, w drodze stąd do Anglii zostałem storpedowany, a po wielu dniach na oceanie uratowany przez łódź niemiecką i przetransportowany do obozu internowanych pod Casablanką. Udało mi się uciec i podczas inwazji amerykańskiej przybyłem w końcu do Anglii.

Zdażyłem się wyszkolić na nowym spręcie lotniczym i zrobić 50 lotów bojowych na Francję, Holandię, Belgię i Niemcy. Przez trzy lata jeszcze byłem w RAF, a w 1948 wyemigrowałem do Kanady. W 1959 r. przenieśliem się do USA i od tego czasu mieszkam w Nowym Jorku [...]”.

Sporo jeszcze w liście pana Zbigniewa Groszka ciekawych szczegółów z czasów lwowskich i wojennych z całego jego niebanalnego życia. Nie chciałbym jednak osłabiać wrażenia, jakie wywiera lakoniczna relacja o jego niezwykłych dokonaniach z czasu drugiej wojny światowej.

Swój dorobek wojskowy i wojenny przeznaczył Zbigniew Groszek dla Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

Wypada jeszcze dodać, że rodzice pana Groszka, wysiedleni w 1946 r. ze Lwowa, przybyli do Krakowa i tu po latach zmarli. Do 1970 r. odmawiano mu wizy do ojczystego kraju, choć – jak pisze z goryczą – „nie przyniosłem mu ujmy ani wstydu, ani krzywdy”. Zdażył jednak jeszcze zastać przy życiu matkę.

Ilustracją relacji o Zbigniewie Groszku niech będą nadane mi przezeń dwa zdjęcia z 1945 i 1987 r., a także kopia dyplomu nadania mu Krzyża Zasługi przez gen. Sikorskiego.

Panie Zbigniewie! My, byli uczniowie szkoły Św. Marii Magdaleny, a także ci z X i XI Gimnazjum, jesteśmy z Pana dumni. Szkoda, że dopiero teraz dowiadujemy się o Pana wojennych czynach i że dopiero teraz możemy się pochwalić dzielnym lwowskim Rodakiem.

Andrzej Chlipalski

Jeżeli szukasz najlepszego partnera w biznesie,
profesjonalnych usług handlowych i technicznych

zapraszamy do



Przedsiębiorstwa Handlu Zagranicznego STALEXEXPORT

40-085 Katowice, ul. Mickiewicza 29

Adres telegraficzny: STALEX – KATOWICE

Skrytka pocztowa: 401

Telefony: 512-211-19 513-221-24

Dalekopis: 031 5751

Telefaxy: 511-941 512-167 511-264

KATOWICE – POLAND

TRADYCYJNIE EKSPORTUJEMY:

- stal profilową
 - dźwigary szerokostopowe
 - stal prętową
 - walcówkę
 - pręty do zbrojenia betonu
 - bednarke
 - blachy gorącowalcowane leżkowe i żeberkowe uniwersalne, okrętowe
 - blachy i taśmy zimnowalcowane
 - blachy ocynkowane
 - rury stalowe
 - szyny kolejowe i akcesoria
 - obręcze (wagonowe i lokomotywowe)
 - koła
 - zestawy kołowe
 - żelazokrzem, żelazomangan, żelazochrom
 - kęsy i kęsiska płaskie i kwadratowe
- oraz**
- złom stalowy
 - złom metali nieżelaznych

Utrzymujemy kontakty z krajami **6 kontynentów**

Współpracujemy z najlepszymi producentami i odbiorcami w branży hutniczej. Aktualnie eksportujemy nie tylko wyroby stalowe, w których jesteśmy profesjonalistami, ale także nowe bardzo zróżnicowane asortymenty, jak:

- metale kolorowe
- koks
- agregaty prądowórcze
- płytki ceramiczne wysokospiekane typu „gres” posadzkowe i elewacyjne
- fajansowe płytki ścienne
- wyroby porcelanowe
- szkło budowlane
- szkło gospodarcze
- cementonaczepy
- autobusy, samochody dostawcze
- akumulatory

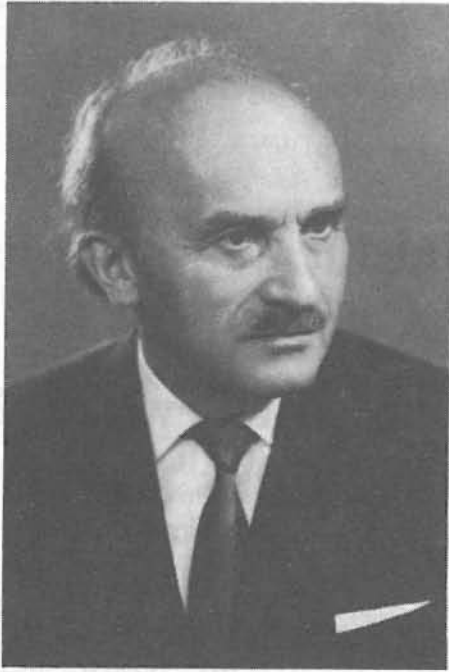
Posiadamy sieć magazynów i sklepów prowadzących sprzedaż detaliczną

Oprócz tradycyjnych wyrobów hutniczych, rud i żelazostopów importujemy

- kompletne linie technologiczne
- maszyny i urządzenia do modernizacji i restrukturyzacji polskiego hutnictwa i innych gałęzi przemysłu

Wszystkim naszym partnerom oferujemy atrakcyjne warunki kredytowe, bardzo atrakcyjne ceny i dogodne warunki płatności.

Zapraszamy do współpracy



Na prośbę p. doc. dra hab. Marcina Horawskiego podajemy następującą informację:

Prof. dr Karlhaus Göttlich ukończył w czerwcu 1939 r. Akademię Rolniczą w Dublinach koło Lwowa. Prześladowany w czasie wojny za odmowę wpisania się na Volkslistę, zmuszony był przez gestapo opuścić Generalną Gubernię (jego ojczym Polak zginął w Oświęcimiu). Po wojnie został profesorem Uniwersytetu Hoheheim w RFN i jednym z najwybitniejszych badaczy torfu. Był wielkim miłośnikiem Lwowa i nigdy nie zapomniał o swoich przyjaciółach z tego miasta. Kilka razy odwiedził docenta Horawskiego we Wrocławiu, który na jego prośbę posyłał mu „Semper Fidelis” i wydawnictwa o Lwowie.

Będąc w lipcu 1990 r. razem z żoną we Wrocławiu u p. doc. Horawskiego, wyjawiał mu, że latem 1991 r. wybiera się swoim kempibusem do Lwowa, miasta, którego nigdy nie zapomniał.

Niestety, zmarł w lipcu ubiegłego roku.

KORESPONDENCJA

Korespondencja od jednego z najstarszych czytelników „Semper Fidelis”. Na zdjęciu p. Wilman oraz fragment listu pisanego przez niego własnoręcznie.



Wochany przejaciele Polacy kluny urodzony
 Hruclawio spochodzenia rodziców Miasta Lwowa -
 idzie śladem swych dziadków ojców kluny
 uposili Polski Miastu Lwów wujal wysyłam wyblity
 drukim jakualczety polski orientu w roku 1918 w listopadzie
 opis jest sprowiedliwy swym dzieciom dać dozwolenia
 niechże historii nuzynie i przeproszam zemoji piśmie
 jest zblędami loniejestym ucrony i wafk podlerzły i maoczy
 niurdzę łoprowe Oku w penkle sialkiufo bez ufularów
 czytalem ksiąziki doświatka, tytku najedno Oku widze
 abe jura zamatu

Pozdrawiam wszystkich
 Po Polaków ze Lwowa
 i Bierzcie dzieu zdrowia i ciepłowości

Czekacie na Lwów. Szczęść Ham Pamię Boży

Być Zwanni

i Proszę Odpisać
 jak ustrzymacie
 Te piśmie

Jan Wilman

Jan Wilman
 Przeworsk 37-200
 ul. Kępolna 2
 wj. Premysł

dnia 11/10/91

Łakomski Franciszek
46-213 Łowkowie
gm. Kluczbork

Tęsknota za rodzinną wioską

Kiedy wspominam me rodzinne strony,
Tam na Podolu, gdzie się urodziłem,
Tam przeżywałem swoje młode lata,
I tam się bawiłem. [...]

Piszę z tęsknotą za ziemią ojczystą,
Za tym co było na wschodzie.
Za wertepami, jakie tam bywały,
I za jarami skrytymi,
Za wioską moją ze słomianą strzechą,
Pod którą się urodziłem.

Łowkowie, styczeń 1992 r.



Lwowska kapela „Ta joj”

Stoją od lewej: Zbigniew Jurkiewicz †, Tadeusz Wanat, Artek Dobiszewski. Klęczą od lewej: Kazimierz Galikowski, Adam Wojdyła, Leszek Kwaśnicki.

Szefem i kierownikiem muzycznym jest p. Kazimierz Gawlikowski, a najnowszym „nabytkiem” zespołu jest Andrzej Dackowski. Kapela od początku istnienia bierze udział we wszystkich ogólnopolskich festiwalach kapel podwórkowych w Przemyślu, znajdując się zawsze w czołówce. W 1989 r. zdobywa główną nagrodę Grand Prix na XIII festiwalu. Na zdjęciu prezentujemy zespół po pełnym sukcesie koncertu w Gdańskiej Oliwii w sierpniu 1991 r.



Chór Męski Miłośników Lwowa „HARFA” pod dykcją pana Mieczysława Dziunki działa we Wrocławiu od 11 I 1989 r. na zasadach w pełni społecznych. Uczestnicy chóru to panowie o bardzo dużej rozpiętości wieku, rekrutujący się z lwowiaków, kresowiaków, a także miłośników i sympatyków m. Lwowa. Sam dyrygent jest lwowiakiem z Łyczakowa, dobrze pamiętającym Lwów i atmosferę śpiewającego miasta.

Próby chóru odbywają się w poniedziałki i czwartki w godz. 18-20 przy ul. Marszałka J. Piłsudskiego 38a w podwórzu (w salce Izby Skarbowej). Zarząd chóru serdecznie zaprasza chętnych do udziału w próbach.

POSZUKIWANIA

Pani Maryla — Marlena Waliszewska, ur. 12 I 1938 r. we Lwowie, poszukuje krewnych, znajomych jej rodziny naturalnej: matki Heleny, z domu Swieykowskiej, prawdopodobnie do wybuchu wojny w 1939 r. zamieszkałej w majątku rodziców Łapy koło Tarnopola, ojca — Żyda, prawdopodobnie pochodzenia austriackiego, syna bankiera lwowskiego Lipszyca.

W czasie wojny jako kilkuletnie dziecko p. Maryla została przycięta do rodziny Jana i Janiny Bentkowskich, która do wojny zamieszkiwała w Osiedlu Domków Kolejowych w Tarnopolu, a od 1940 r. z panią Marylą w Skarżysku-Kamienniej przy ul. Staszica nr 5. Pod koniec 1944 r. rodzina Bentkowskich zamieszkiwała w Tczewie.

Opiekunowie nie żyją. Wszyscy zostali aresztowani w 1951 r. Pani Maryla wyszła z więzienia w 1955 r. i więcej się z nimi nigdy nie spotkała. Wystawiono jej trzy fałszywe metryki — pierwszą na nazwisko Maria Janecka, ur. 12 I 1938 r., w Grodzisku (informacja z archiwum PCK w Warszawie).

Kto znał rodzinę Bentkowskich z Tarnopola?

Wszelkie informacje proszę kierować pod adresem: Maria Waliszewska, 80-405 Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Klonowicza 7 m 5, tel. 419-728.

Na informację o losach Stanisławy, Bronisławy, Julii i Władysława Geisheimerów (ojciec Adam) z Buska koło Lwowa czeka rodzina w Szwajcarii.

Wiadomość proszę przesłać do redakcji „Semper Fidelis” lub pod adresem: Lesław Flis, 52-212 Wrocław, ul. Józefa Unruga 17/1.

Zwracam się z prośbą o pomoc w odnalezieniu rodziny Leopolda (vel Leona) Kochańskiego oraz osób, które mogłyby coś o nim powiedzieć.

Leopold (vel Leon) Kochański, syn Józefa, urodził się w Bolechowie, powiat Dolina. Przed wojną mieszkał w Stanisławowie, gdzie pełnił jakąś funkcję we władzach wojewódzkich. Aresztowany w 1940 r. wraz ze swoim bratem, a moim dziadkiem Franciszkiem Kochańskim, zaginął. Jego rodzina osiadła gdzieś po wojnie na ziemiach zachodnich (prawdopodobnie w okolicy Legnicy).

Bardzo bym prosił o pomoc w ich odszukaniu, a także o informacje dotyczące obu braci.

Franciszek Kochański, aresztowany w 1940 r., przebywał w więzieniu stanisławowskim, a jego brat uciekł z transportu.

Wojciech J. Kochański
ul. Daszyńskiego 3 m 1
44-100 Gliwice

Dr Wincenty Harmata, zam. 31-137 Kraków, ul. Siemiradzkiego 20 m. 1, poszukuje ojca, b. starosty w Stryju, który został aresztowany we Lwowie 1 X 1939 r. przy ul. Chocimskiej 2 u pp. Kwiecińskich. Nazwiska jego nie ma w wykazie przedłożonym władzom polskim przez ZSRR. Prawdopodobnie zginął w jednym z więzień lwowskich.

Czytelniczka „Semper Fidelis”, p. Wanda Ganz, z domu Stańczewska, zamieszkała obecnie w Anglii, szuka znajomych ze Lwowa lub okolic.

Adres w Anglii: Wanda Ganz
32 Grants Hill House
Oaklea Way
Uckfield E. Sx
TN22-2BN
England

Krajowy Związek Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych przy współudziale wiejskich organizacji, instytucji oraz redakcji czasopism o problematyce rolniczo-wiejskiej ogłasza

OTWARTY KONKURS HISTORYCZNY

na temat:

KÓŁKA ROLNICZE NA NASZYCH DAWNYCH KRESACH WSCHODNICH

1. Warunkiem przystąpienia do konkursu jest nadesłanie w terminie do 31 XII 1992 r. pod adresem Krajowy Związek Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych — Komisja Historyczna, 00-950 Warszawa — 1, ul. Szkolna 2/4, skr. poczt. 154, opracowania zawierającego opis działalności organizacji kółek rolniczych (np. KR, KGW, Zesp. PR, Tow. KR-KGW, Roln. Zw-Zrz.Branż, Zw. Osadnik. Roln.) na naszych dawnych Kresach Wschodnich.

2. Opracowanie może mieć formę monografii (opis ważniejszych wydarzeń), pamiętnika-wspomnienia, dziennika, notatek, zestawu pamiętek-dokumentów (np. sprawozdania, kroniki, legitymacje, statuty-regulaminy, publikacje prasowo-książkowe, fotografie — z dodatkowymi opisami). W opracowaniu należy uwzględnić m.in.:

— bliższe dane osobowo-rodzinne autora(ów) opracowania wraz z jego(ich) kolejami losów życiowo-rodzinnych,

— źródła (materiały), które wykorzystano przy pisaniu opracowania,

— dane o terenie działania organizacji kółek rolniczych wraz z charakterystyką przodujących działaczy.

3. Objętość opracowania dowolna. Powinno być pisane czytelnie na maszynie lub odręcznie, z tym że wyjątkowo starannie należy pisać: imiona i nazwiska, daty i nazwy organizacji, instytucji oraz miejscowości (przy miejscowościach podać nazwy gmin lub b. powiatów).

4. Podsumowanie konkursu nastąpi w styczniu 1993 r. po uprzednim dokonaniu oceny opracowań przez Sąd Konkursowy, powołany przez KZRKiOR w składzie przedstawicieli współorganizatorów konkursu.

5. Za najlepsze opracowania zostaną przyznane nagrody i wyróżnienia ufundowane przez współorganizatorów konkursu.

6. Prace konkursowe będą stanowiły materiał źródłowy historii ruchu kółek rolniczych, pozostający w archiwum Komisji Historycznej KZRKiOR. Posłużą one do opracowania historii kółek rolniczych na dawnych naszych Kresach Wschodnich. Przewiduje się ponadto opublikowanie niektórych opracowań konkursowych w prasie.

Komisja Historyczna KZRKiOR

Przepraszamy za błędy, które wkradły się do nru 4(10) 1991. Nazwisko autora książki *Kościół w niewoli*, – winno brzmieć Hlebowicz, (patrz okładka).

Przepraszamy naszych Czytelników za mylną informację dotyczącą fundatora kościoła w Drohobyczu, podaną w artykule *Wieści z krainy między Dniestrem, Prutem a Czeremoszem*. Kościół ten stanowi fundację króla Władysława Jagiełły, a nie jego syna Kazimierza Jagiellończyka.

Również autor artykułu *Kresowe szlaki*, p. dr Stanisław Rakowski poprosił o sprostowanie pomyłki, jak zakradła się do jego artykułu, zamieszczonego w 4 numerze „Semper Fidelis” z 1991 r. Na s. 29 w szpalcie drugiej w wierszu 12 od dołu zamiast „którzy wyparci zostali za Zbrucz” winno być „którzy wyparli ich za Zbrucz”, a wierszu 25 od dołu zamiast „Przy tej ulicy stoi nadal stara drewniana cerkiewka” winno być „Przy ul. Kolejowej stoi nadal stara drewniana cerkiewka”.

APEL

Apel do mieszkańców Czerwonogrodu, Nyrkowa i Zagórzan oraz innych pobliskich wsi woj. stanisławowskiego, którzy pamiętają noc z 2/3 lutego 1945 r. w święto Matki Boskiej Gromnicznej, o informacje dotyczące napadu i mordu ludności polskiej przez UPA.

Podczas okupacji sowieckiej w latach 1940/41 jako wysiedleńca z Zaleszczyk mieszkalem z rodziną w Nyrkowie. Nie jest mi obojętna sprawa Czerwonogrodu ani tragicznych wydarzeń we wsiach Winiatyńce, Szczytowiec, Dupliska, Blyszczanka, a szczególnie „czerwona noc sylwestrowa” 1944/45 w Uhrynkowcach. By zmusić Polaków do wyjazdu na zachód, by przyspieszyć nasze odejście, szowiniści spod znaku UPA nasilili represje. W imię czego spowodowali napad na Czerwonogród w święto Matki Boskiej Gromnicznej, gdy ludność prosiła w uroczystej mszy pożegnalnej o łaskę na dalszą przyszłość i przygotowana była do wyjazdu? W imię czego szły w tę straszną noc kobiety z płonącymi pochodniami i zawieszonymi na szyjach świętymi obrazami ze zbrocza Nyrkowa i Zagórzan, towarzysząc swym krwawym braćiom i mężom?

Dlatego zwracam się do wszystkich, którym znane są jakiegokolwiek szczegóły z tragicznych napadów, i ufam w pomoc w opracowaniu i udokumentowaniu wszystkich wydarzeń. Może ktoś ma fotografię kościoła, dworców, parku oraz mapę Czerwonogrodu. Będę bardzo wdzięczny za wypożyczenie lub kserokopię tych dokumentów.

dr med. Józef Juzwa
41-902 Bytom
ul. Roosevelta 43

APEL

Uwaga Kołomyjanie! Uwaga Kresowiaci!

W związku z organizacją Brygady Piechoty Górskiej, której bataliony przyjmą tradycje pułków: 48 Piechoty ze Stanisławowa, 49 Strzelców Huculskich z Kołomyi, 53 Piechoty ze Stryja oraz PAL Stanisławów-Kołomyja, prosimy uprzejmie o przysyłanie informacji, fotografii, dokumentów, odznak pułkowych, kapeluszy, czapek, peleryn.

Wiadomości proszę kierować pod adresem: ppłk w stanie spoczynku Mieczysław Rutowicz, 53-150 Wrocław, ul. Gajowicka 164/4.

KORESPONDENCJA

Z wielką ciekawością i przyjemnością czytałam pismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Wschodnich „Semper Fidelis” 2-3 (8-9) 1991.

Życzę Redakcji pisma, żeby podawała wiadomości zgodne z prawdą. Jestem rodzoną siostrą dra Zenona Hoffmana i mam z nim stały kontakt. Ks. Jeżowski otrzymał mylną informację. Właśnie miałam zamiar to pismo wysłać bratu Zenonowi, który wiadomości z jego rodzinnych stron i młodzieńczych lat ze wzruszeniem odbiera, ale kiedy przeczytałam na s. 33, wiersz 5 i 6 „Zenon zmarł po wojnie w Anglii”, od tego zamiaru odstąpiłam.

Przecież nie może dowiedzieć się o swojej śmierci człowiek żywy.

Uprzejmie proszę o sprostowanie tej informacji.

Przepraszamy i niniejszym prostujemy – Redakcja.

Stanisława Kożuchowska

00-552 Warszawa pl. Konstytucji 4 m 3

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałam otrzymane dziełem przypadku 2 egz. „Semper Fidelis”. Zawarte w kwartalnikach materiały ze wszech miar zasługują na szeroką akcję ich rozpowszechniania.

Dzięki publikowanym materiałom szerokie kręgi społeczeństwa polskiego uzyskują możliwość wypełnienia luk w wiedzy historycznej – tragicznej i w sposób zamierzony ukrywanej przez władze PRL. Nic więc dziwnego, że wiedza historyczna z dziejów najnowszych jest bardzo płytka, nawet wśród ludzi legitymujących się historycznymi studiami. Redakcja „Semper Fidelis” z powodzeniem podjęła się roli nauczyciela obiektywnej polskiej historii w odniesieniu do Kresów Wschodnich. Nazwisko Pana Stanisława Nicię wśród członków kolegium jest tego najlepszym gwarantem. Znam osobiście młodego profesora historii i znam jego zapał do ujawniania tak skrzętnie dotychczas skrywanej prawdy.

Życzę, by „Semper Fidelis” i jako czasopismo, i jako Fundacja z dużym powodzeniem realizowała cele. Będę upowszechniał idee Fundacji wśród moich najbliższych. Uzyskałem pierwszych sympatyków i dokonałem pierwszej wpłaty. Myślę, że będą następne.

Zdzisław Budzyński

01-475 Warszawa ul. Otrębuska 17

SEMPER FIDELIS

„Semper Fidelis” dociera do wielu krajów na wszystkich kontynentach

Zachęcamy do reklamowania się na naszych łamach

Ceny ogłoszeń w ramach:

cała strona	– 6 000 000 zł
1/2 strony	– 3 500 000 zł
1/4 strony	– 2 000 000 zł
1/8 strony	– 1 000 000 zł
za jedno słowo	– 10 000 zł

FUNDACJA KRESOWA

„SEMPER FIDELIS”

Fundacja została powołana w grudniu 1990 roku we Wrocławiu. Celem Fundacji jest:

- *ochrona dziedzictwa historycznego i kulturalnego Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej,*
- *wszechstronna pomoc społeczności polskiej zamieszkującej Kresy,*
- *szerzenie prawdy historycznej o roli i znaczeniu Kresów Wschodnich w dziejach narodu polskiego.*

Cele te Fundacja zamierza realizować poprzez:

- *gromadzenie i efektywne wykorzystanie środków finansowych i rzeczowych otrzymywanych z kraju i zagranicy,*
- *działalność wydawniczą – kontynuowanie wydawania pisma Lwowian i Kresowian „Semper Fidelis” oraz innych wydawnictw związanych z szeroko pojętą tematyką kresową,*
- *organizowanie kolonii, obozów, zimowisk dla dzieci rodzin polskich w Ojczyźnie, pobytów leczniczych i sanatoryjnych dla najbardziej potrzebujących,*
- *fundowanie stypendiów dla uczniów i studentów,*
- *wspieranie inicjatyw zmierzających do ratowania i ochrony pamiątek przeszłości tych ziem,*
- *współpracę z innymi organizacjami krajowymi i zagranicznymi zajmującymi się dawnymi i najnowszymi dziejami Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej,*
- *popieranie działalności popularyzatorskiej i naukowej odnoszących się do tego regionu.*

Fundacja przygotowana jest przy dodatkowym wsparciu finansowym do prowadzenia wszelkiej działalności przedstawicielskiej, wytwórczej, handlowej, turystycznej i artystycznej.

Każdy dar pieniężny lub rzeczowy przyczyni się do ocalenia polskiego dziedzictwa kulturowego, pomocy dla ludzi jej potrzebujących, wsparcia duchowego i materialnego Polaków obecnie zamieszkujących na Kresach.

Prosimy o powiadomienie swoich krewnych, przyjaciół, znajomych i klientów o istnieniu i działalności Fundacji. Będziemy wdzięczni za każdy, nawet najskromniejszy datek.

Uprzejmie informujemy, że zgodnie z obowiązującymi przepisami prawnymi z podstawy opodatkowania zysku odlicza się kwotę dotacji przekazanych na działalność Fundacji.

Nasze konto: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa, Wrocław, Rynek Ratusz 7/9 PKO IV/O Wrocław 93549-99192-132. Fundacja Kresowa „Semper Fidelis”.

LISTA OFIARODAWCÓW
NA FUNDACJĘ KRESOWĄ „SEMPER FIDELIS”
(obejmuje wpłaty od 20 X 1991 do 1 III 1992 r.)

1. Wł. Ostrowski (Zamość)	100 000	49. W. A. Podoleccy (Kielce)	50 000
2. T. Wodziński (Lubliniec)	310 000	50. R. Bohdalek (Wrocław)	100 000
3. M. Harlender (Bytom)	20 000	51. Z. Grosse (Wrocław)	100 000
4. F. Heczkowa (Bytom)	50 000	52. A. Borzemski (Wrocław)	1 000 000
5. J. Tokarz (Bytom)	50 000	53. I. i S. Czajkowie (Czaplinek)	100 000
6. B. Hersztowska (Bytom)	50 000	54. M. Kobel (Zabrze)	30 000
7. J. Guzek (Bytom)	50 000	55. S. Wawis-Schylek (Wisła)	100 000
8. J. Dymus (Gdańsk)	100 000	56. R. Tęcza (Gdańsk-Wrzeszcz)	100 000
9. St. Góral (Jasień)	20 000	57. J. Bieńko (Kurzyzna Średnia)	300 000
10. J. Węgierski (Katowice)	100 000	58. L. i J. Szargułowie (Gliwice)	200 000
11. TML Nowy Sącz	200 000	59. Cz. Leomak (Długopole Zdrój)	10 000
12. Z. Lechowski (Wschowa)	35 000	60. Cz. Bruchal (Długopole Zdrój)	10 000
13. J. Niedzielska (Bytom)	100 000	61. G. Stankiewicz (Bydgoszcz)	10 000
14. TML Brzeg	212 000	62. Z. Lechowski (Wschowa)	15 000
15. A. Jozukiewicz (Bytom)	20 000	63. K. Makara (Kołaczyce)	100 000
16. TML Legnica	300 000	64. TML Szczecinek	150 000
17. J. Sennik (Bytom)	16 500	65. J. Rybotycki (Jawor)	100 000
18. K. Czajkowska (Krosno)	20 000	66. Z. Budzyński (Warszawa)	20 000
19. B. Simachowicz (Poznań)	150 000	67. J. i W. Ogielen (Wrocław)	50 000
20. T. Świętnicki (Przemyśl)	100 000	68. M. Wartan (Benoni, Rep. Poł. Afryki)	2 995 500
21. K. Głogowska (Tychy)	100 000	69. M. Komornicka (Milwaukee USA)	563 600
22. TML Stalowa Wola	58 000	70. J. Jackowska (Szczecin)	150 000
23. J. Leszczyński (Kielce)	10 000	71. T. Łukomski (Katowice)	100 000
24. St. Pępkowski (Toruń)	50 000	72. T. Wodziński (Lubliniec)	70 000
25. D. J. Bolanowscy (Łódź)	100 000	73. A. Turczyniak (Goleszów)	200 000
26. W. M. Lubkowie (Kielce)	50 000	74. A. Senze (Polanica Zdrój)	100 000
27. W. Spólnik (Jasło)	200 000	75. J. Leszczyński (Kielce)	10 000
28. A. Akielaszek (Legnica)	50 000	76. P. Bilewicz (Wrocław)	50 000
29. M. Kosielski (Słupsk)	100 000	77. Cz. i W. Mokankowie	100 000
30. TML Rzeszów	680 000	78. T. Kukiz (Niemodlin)	100 000
31. J. Bułat (Katowice)	100 000	79. W. Bohr (Gliwice)	50 000
32. Fundacja Przyjaciół Lwowa (Warszawa)	1 000 000	80. W. Thiel (Ann Arbor USA)	3 931 800
33. TML Oleśnica	200 000	81. R. Gajer (Wrocław)	25 000
34. Z. Bielawska (Cibórz)	100 000	82. R. Dubieniak (Wrocław)	25 000
35. J. Łabiniec (Kraków)	50 000	83. TML Tłumacz	500 000
36. W. Żabiński (Kraków)	35 000	84. K. Kowal (Jelenia Góra)	100 000
37. Cz. Mokanek (Jelenia Góra)	100 000	85. T. Czapła (Sulechów)	100 000
38. J. Bąk-Hołowiecka (Wrocław)	100 000		
39. A. Schlöster (Kraków)	100 000		
40. TML Zabrze	300 000		
41. Z. Kubas (Brzozów)	100 000		
42. H. Kitaszewski (Sydney Australia)	84 000	1. I. Thiel (Ann Arbor USA)	500 dol.
43. Z. Antkowiak (Wrocław)	100 000		
44. J. Katner (Łódź)	20 000		
45. J. Stapek (Sanok)	50 000		
46. M.T.P. Sp z oo. (Poznań)	1 000 000		
47. K. A. Lisowie (Goświnowice)	100 000		
48. Przed. Prod. Handlowo-Usługowe „Unisco” S.A. (Poznań)	1 500 000		

Serdecznie dziękujemy wszystkim ofiarodawcom.

Listę sporządziła Danuta Tabińska-Juhasz
Skarbnik ZG TML

SEMPER FIDELIS

DANUTA NESPIAK Nim zaśpiewasz <i>Alleluja</i> ...	1
KRYSTYNA ROSZEK-MASIAK Likwidacja więzienia stryjskiego przy ul. Trybunalskiej (Hołówki) przez NKWD w 1941 r.	3
ADAM WIĘCEK Dawne kresowe miasto Brzeżany — jego dzieje i zabytki	6
BOLESŁAW OPAŁEK Rocznicowe leopolitana w Krynicy	10
ZDZISŁAW J. ZIELIŃSKI Lwowianin — ojcem bomby wodorowej	11
JÓZEF DRZAZGA Juliusz Stefan Petry	12
JÓZEF JUZWA Droga wiodła przez Zaleszczyki	14
F. K. A było to w Bieszczadach	16
KS. LESŁAW JEŻOWSKI Lwów — Stanisławów — Turka, czyli jak byłem lwowskim paczkarzem	17
WŁADYSŁAW BOHR Wspomnienia byłego studenta	19
ANDRZEJ RYBICKI Więzenie NKWD — Lwów, ul. Zamarstynowska	20
ZDZISŁAW J. WINNICKI „...gdybym kiedyś o Nich zapomniał Ty Boże na niebie zapomnij o mnie...”	21
ANDRZEJ RYBICKI Pomnik pod Jasionowem	23
AKTUALNOŚCI	24
POLEMIKI	28
MARIA SAWICKA Na Panoramic Raclawickiej	30
RECENZJE	33
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	33

REDAGUJE KOLEGIUM W SKŁADZIE: Jan Akielaszek, Andrzej Chlipalski, Lesław Flis, Wiesława Jeleńska-Hombek, Andrzej Kaminski, Danuta Kotowicz, Danuta Nespiak, Stanisław Sławomir Nicieja — przewodniczący, Zdzisław Ojrzyński, Jan Ziembicki

REDAKCJA: Wiesława Jeleńska-Hombek — redaktor odpowiedzialny, Danuta Nespiak — redaktor naczelny, Zdzisław Ojrzyński, Irena Zaucha — asystent redaktora

ADRES REDAKCJI: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa — Wrocław, Rynek Ratusz 7/9 tel. 44-88-93

WYDAWCA: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa

Materialów nie zamówionych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.

Na I stronie okładki — pomnik Orłąt Lwowskich na cmentarzu Św. Rodziny we Wrocławiu (fot. Z. J. Zieliński)

Cena 6500 zł, 3 USD, 5,5 DM

W NUMERZE:

Danuta Nespiak, *Nim zaśpiewasz Alleluja...*

Adam Więcek, Dawne kresowe miasto Brzeżany — jego dzieje i zabytki

Zdzisław J. Zieliński, Lwowianin — ojcem bomby wodorowej

Władysław Bohr, Wspomnienia byłego studenta

Maria Sawicka, Na Panoramic Raclawickiej

Polemiki

Aktualności